Prawo wyborcze kobiet.

W kilku ostatnich latach poczyniła kwestya politycznych uprawnień kobiet znaczne postępy. Od czasu, kiedy przedstawiałem stan tej kwestyi w rozprawce ogłoszonej w r. 1898 w „Słowie polskiem“,[1]) zmieniło się już bardzo wiele. Wprawdzie na mocy nowej austryackiej ordynacyi wyborczej do Rady Państwa (ustawa z dn. 26. stycznia 1907 Nr. 17 dz. p. p.) utraciły kobiety to częściowe prawo wyborcze, jakie posiadały w Austryi przy wyborach do Rady Państwa w kuryi wielkich posiadłości ziemskich, a to z powodu zwinięcia tej kuryi, ale natomiast uzyskały one prawo wyborcze, a nawet i prawo wybieralności w innych państwach, a mianowicie w australskiem państwie związkowem (Commonwealth) w r. 1902, w Finlandyi w r. 1906 a w Norwegii w r. 1907.

Commonwealth australski, zwany także Stanami Zjednoczonymi australskimi, składa się z sześciu państewek, z których pięć przyznaje kobietom czynne i bierne prawo wyborcze przy wyborach do własnych sejmów (południowa Australia od r. 1895, zachodnia Australia od r. 1899 a nowa południowa Walia od r. 1902). Tasmania od r. 1903, a Quensland czyli kraj królowej od r. 1905. W szóstem państewku, Victoria, oświadczyła się dotychczas Izba niższa już ośm razy za przyznaniem kobietom prawa

[1]) „O udziale kobiet w wyborach do ciał reprezentacyjnych w Austryi i w ogólności“ (Nr. 182, 183 i 187 z r. 1898). Patrz także Radek Karol: Prawo wyborcze kobiet („Nowe Słowo“ 1905).

wyborczego, ale Izba wyższa unicestwiła za każdym razem tę uchwałę. Natomiast mają wszystkie wyżwymienione państewka prawo wyborcze kobiet, na mocy ustawy wyborczej z maja 1902, przy wyborach do parlamentu związkowego czyli do Sejmu całego Commonwealth, a to zarówno prawo wyborcze czynne jak i bierne, zarówno do Izby poselskiej jak do Senatu. O ile jednak nasze informacye sięgają, niebyły kobiety dotąd faktycznie wybierane ani do Sejmów poszczególnych państewek ani do Sejmu związkowego, pomimo że przy wyborach z r. 1903 trzy kobiety kandydowały do Senatu.

Kobiet-wyborczyń było tam wtedy 856.000, mężczyzn 97.000. Kobiety-wyborczynie popierały partyę robotniczą, występowały stanowczo przeciw socyalizmowi: prawie połowa ich nie stanęła do urny wyborczej, a wszystkie objawiały stanowczą niechęć do głosowania za kobiecemi kandydaturami i nawet na wiecach przedwyborczych zapadały rezolucye, że na to jeszcze nie pora.

Jako program wyborczy, ustanowiony przez przywódczynie ruchu wyborczego (centralny komitet wyborczy) przyjęły kobiety następujące punkta:

1) zupełna równość obu płci wobec prawa i urzędu, 2) równoprzystępność wszystkich urzędów państwowych dla obu płci: 3) zakaz dowozu i sprzedawania opium, używania napojów spirytusowych w dnie świąteczne, palenia tytoniu poza domem, 4) ustanowienie sądów rozjemczych dla spraw przemysłowych, 5) organizacya sił zbrojnych, tak lądowych jak morskich, jedynie dla celów odpornych, i popieranie systemu wolnozaciężnego, 6) równość wobec prawa także co do małżeństwa i rozwodu, 7) badanie wszystkich dowożonych środków żywności pod względem hygienicznym.

W Anglii, gdzie kwestyę prawa wyborczego kobiet patronizował głównie John Stuart Mill [1]) nie schodzi ta sprawa już od r. 1867 z porządku dziennego. Interesujący referat o niej wygłosiła Miss Garret-Fawceth z Londynu na międzynarodowym kongresie kobiecym, odbytym w Berlinie w r. 1904; odczytać go można w wydawnictwie p. Maryi Stritt, zawierającym główne referaty, wygłoszone na kongresie. [2])

---

[1]) Patrz n. p. prof. Winternitz: John Stuart Mill und die-Frauenbewegung (Oesterreichische Rundschau Bd. VII., Heft 82 u. 83).

[2]) Wydawnictwo p. Stritt nosi tytuł: Der internationale Frauenkongress in Berlin 1904; Bericht mit ausgewählten Referaten, heraus-

Skutkiem pomyślnych doświadczeń, poczynionych w Anglii z prawem wyborczem kobiet do różnych lokalnych ciał samorządnych, np. do rad ubogich, w których nawet wiele kobiet zasiada, rozszerzono analogiczne prawa kobiet tak daleko, jak daleko wogóle sięga państwo angielskie. Tak np. wkrótce po ukończeniu wojny w południowej Afryce utworzono w Johannisburgu radę municypalną, w której zasiadają zarówno mężczyzni jak i kobiety.

Pierwszem stronnictwem, które nadało kobietom organizacyę polityczną, było stronnictwo konserwatywne. Dziś już ma każda partya swą organizacyę kobiecą *(Primrost League, the Woman's Liberal Federation, the Women's Liberal Unionisl Association* i t. p.). Najskuteczniejszą działalność na polu kobiecego prawa wyborczego rozwinął drugi z wyżwymienionych związków *(the Women's Liberal Federation),* który powziął uchwałę, nie użyczać swego poparcia żadnemu liberalnemu kandydatowi, który by się nie zobowiązał do popierania w Izbie niższej politycznego prawa wyborczego kobiet.

Zauważono też pomiędzy robotnicami bardzo żywe zainteresowanie się tą kwestyą; — i niebawem wręczyły one członkom Izby niższej szereg petycyi z dziesiątkami tysięcy podpisów, domagających się prawa wyborczego.

Od chwili, gdy sprawa kobiecego prawa wyborczego weszła na porządek dzienny Izby deputowanych, znalazła ona poparcie tak w kołach konserwatywnych jak i liberalnych. W rzędzie pierwszych jaśnieją tu nazwiska trzech byłych premierów: Lorda Beaconsfielda, Markiza Salisbury'ego i W. Artura Balfoura. Ci mężowie stanu nieznaleźli jednak poparcia całej swej partyi, a nawet każdy napotykał w Izbie lordów na przeważającą opozycyę; przeto i próba nadania kobietom prawa wyborczego i wybieralności do londyńskiej Rady municypalnej zakończyła się porażką, mimo potężnej wymowy Lorda Salisbury'ego. W ogóle znajduje polityczne prawo wyborcze kobiet coraz silniejsze poparcie w kołach liberalnych, tracąc równocześnie zwolenników w szeregach konserwatywnych.

Wniosek o przyznanie kobietom czynnego prawa wyborczego do parlamentu stawiany był w Anglii już przeszło 30 razy w Izbie posłów, a w r. 1897 był już nawet uchwalony w drugiem czyta-

---

gegeben in Auftrage des Vorstandes des Bundes deutscher Frauenvereine.

niu, i dopiero trzeciemu czytaniu wniosku przeszkodzono przez obstrukcyę. Zupełnie to samo powtórzyło się w r. 1904. D. 17 marca 1904 uchwalono w drugiem czytaniu w Izbie posłów rezolucyę, domagającą się czynnego i biernego prawa wyborczego dla kobiet, 186 głosami przeciw 68; liberali głosowali za nią mniej więcej w stosunku 10 do 1, konserwatyści zaś w stosunku 3 do 2. Trzecie czytanie zostało jednak uniemożebnione przez obstrukcyę mniejszości.[1]) O trzeciem zaobstruowaniu projektu obecnego premiera, Campbell-Bannermanna, w r. 1907 będzie zaraz niżej mowa.

Głównym bodźcem dla kobiet angielskich jest nietyle przykład czterech Stanów amerykańskich (Wyoming, Utah, Colorado, Idaho) tudzież angielskiej wysepki Man, w których hasło sufrażystek: „*Votes for women*", jest przeprowadzone w całej rozciągłości, jak raczej przykład Nowej Zelandyi, gdzie prawo wyborcze kobiet funkcyonuje od r. 1893 bardzo poprawnie,[2]) tudzież skutki korzystne, osiągnięte w Commonwealth australskiem.[3]) W swym optymizmie w ocenianiu błogich skutków tego prawa posuwają się kobiety aż do twierdzenia, że ono działa wszędzie dobroczynnie także i na rodzinne życie kobiety, co naszem zdaniem jest wprost mylne (patrz np. mowę p. Anny Shaw na kongresie berlińskim 18 czerwca 1904).

We wyżej wspomnianych czterech Stanach Ameryki północnej mają kobiety tak czynne jak i bierne prawo wyborcze.

Historya ostatnich dwóch lat walki o kobiece prawo wyborcze w Anglii przedstawia wiele interesujących momentów i zawiera szereg nader drastycznych epizodów, które szkodaby było pominąć milczeniem.

Pouczone przykładem innych państw, w których tylko terrorem coś zdobyć można, a świadome przytem, że kobietom uchodzi wiele rzeczy, któreby nie uszły mężczyznom, postanowiły liczne grona kobiet angielskich rozpocząć walkę czynną i ulegać w niej tylko fizycznej przemocy, a zarazem inscenizować różne efektowne demonstracye w parlamencie i jego pobliżu. Urządziły

---

[1]) Patrz Elise Ichenhäuser: Das Frauenwahlrecht. Berlin W. 1906, str. 25. Klara Zetkin j. n. str. 59.

[2]) O Zelandyi patrz referat Miss Sheppard Christchurch p. t.: „Skutki prawa wyborczego kobiet w Nowej Zelandyi", ogłoszony we wspomnianem wydawnictwie Maryi Stritt.

[3]) Patrz William Pember Reewes: Das politische Wahlrecht der Frauen in Australien, Leipzig 1904.

w marcu 1906 hałaśliwą scenę przed mieszkaniem prezydenta ministrów, a następnie, gdy d. 25. kwietnia 1906 Keir Hardie postawił w Izbie wniosek na rzecz kobiecego prawa wyborczego, panie te podniosły na galeryi damskiej ogromny krzyk i wrzuciły do sali posiedzeń chorągiew z napisem: „prawo głosowania dla kobiet". Liberalny poseł Ewans, który właśnie wtedy przemawiał przeciw wnioskowi Hardiego, przerwał swe wywody słowami: „niepodobna wogóle przytoczyć silniejszego argumentu przeciw przyznaniu kobietom prawa wyborczego, jak ta scena, którą właśnie przeżyliśmy"; poczem odroczono rozprawy nad wnioskiem Keir-Hardiego na czas nieograniczony. Damy demonstrujące, w liczbie około 30. wyprowadziła z galeryi dopiero policya.

Już w kilka miesięcy później w maju 1906 mogły się jednak angielskie suffrażystki (Suffragettes) poszczycić rezultatem wcale pomyślnym. Angielski premier, Sir Campbell-Bannermann, przyjął ich deputacyę, eskortowaną przez blisko 40 posłów i oświadczył jej, że jeszcze tylko na krótki przeciąg czasu potrzebują się uzbroić w cierpliwość, premier sądzi bowiem, że niewiele lat minie, a prawo wyborcze kobiet zostanie wprowadzone w drodze prawodawczej. Suffrażystkom trudno, jednak było, na tę cierpliwość się zdobyć. Gdy minister skarbu Asquith, którego one uważały za swego głównego wroga, odbywał w czerwcu 1906 zgromadzenie publiczne w. Northampton, zjawiły się tam suffrażystki w gronie licznych zwolenników i w chwili gdy minister począł mówić, podniosły ogłuszający hałas i czyniły taki zgiełk, że aż policya wyprowadziła około sto pań ze sali. Niektóre stawiały czynny opór, rzucały się na ziemię, a te szpetne sceny powtarzały się potem na ulicy. W kilka dni później udały się one znów pod przewództwem Miss Ellen Kenney i Miss Billington przed mieszkanie Lorda Asquitha i urządziły mu tam kocią muzykę; a gdy policyant chciał powstrzymać panią Billington w jej zapale, został przez nią wypoliczkowany. Policyant zato zaaresztował ją, ale Miss Billington, prowadzona do stacyi policyjnej w Marlybone, potrącała policyanta gwałtownie, a następnie, powołana do przesłuchania, wzbraniała się uznać kompetencyę sądu policyjnego. „Wszystkie wasze ustawy — mówiła — są fabrykowane przez mężczyzn, a zasadom sprawiedliwości sprzeciwia się stosowanie do kobiet takich przepisów ustawowych, przy których wydaniu one nie współdziałały. Dopóki kobiety nie współdziałają w ustawodawstwie, niema żaden angielski sędzia prawa, sądzić mnie lub inną kobietę". Orzekający sędzia nie podzielał jednak

tych poglądów i skazał panią Billington na 10 fl. szt. grzywny względnie na 2 miesiące aresztu.

W kilka miesięcy później, d. 14 października 1906, przyjmował tenże sam lord Asquith deputacyę suffrażystek i oświadczył jej, że bynajmniej nie jest nieprzychylny ich żądaniom, pomimo nieprzyjaznej demonstracyi jaką mu kobiety przed niedawnym czasem urządziły i mimo nieżyczliwej wobec niego podstawy kobiet. Wkrótce potem, zapewne wskutek oświadczenia Asquita, starał się Campbell-Bannermann usprawiedliwić listownie przed centralnym komitetem kobiecego związku politycznego i społecznego, że rząd nie może już podczas nadchodzącej jesiennej sesyi 1906 podnieść w parlamencie sprawy głosowania kobiecego. A jako że niewiastom zwykle nie jest łatwo coś wyperswadować, wzięły suffrażystki to tłomaczenie się Campbell-Bannermanna za wykrętną wymówkę i odpłaciły mu się za kilka dni przy otwarciu parlamentu nową awanturą. Wtargnęły do samej sali posiedzeń Izby gmin, poczęły tam wznosić okrzyki na intencyę głosowania kobiet, rozwinęły sztandar z odpowiednim napisem, uczyniły ogromny zgiełk i hałas i nie chciały ani ustąpić ani poddać się zarządzeniom policyi, stawiając jej czynny opór i znieważając ją, tak że przyszło do czynnych starć i że wszystkie uczestniczki tej sceny zostały przyaresztowane. Były zaś między nimi i bardzo poważne kobiety, np. pani Anna Sanderson, córka Ryszarda Cobdena. Postawione przed sąd policyjny, zostały skazane na kary dziesięciu funtów szterlingów, albo dwumiesięcznego więzienia i wszystkie wybrały więzienie, w którem też przesiedziały się, zamknięte w Holloway, aż do d. 31 grudnia 1906.

Pani Ellen Key, opisując tę scenę[1]) na podstawie opowiadań dwu jej uczestniczek, skreślając losy jakie one przechodziły w więzieniu i konstatując że polityczna i socyalna unia kobiet w Anglii (The Womens Social and Political Union) postanowiła rozpocząć otwarcie propagandę czynu w sprawie kobiecego prawa wyborczego, oświadcza całkiem seryo że jedynym skutecznym wedle jej zdania środkiem uzyskania tego prawa byłby powszechny strejk kobiet od przysparzania społeczeństwu nowych obywateli, czyli od macierzyństwa. Czy ten strejk rozciągaćby się miał i na

[1]) Das Frauenstimmrecht. („Die Zeit", Nr. vom 9. Februar 1907).

wszystko, co się z macierzyństwem łączy, zapomniała autorka, w swej skromności, dodać.

Wkrótce potem wywiązał się rząd z danego słowa i bill o przyznaniu kobietom prawa wyborczego do parlamentu pod tymi samymi warunkami pod którymi posiadają je mężczyzni, przyszedł pod obrady Izby Gmin w drugiem czytaniu d. 8 marca 1907. Sir Campbell-Bannermann oświadczył, że rząd pozostawia całkowicie Izbie decyzyę w tej sprawie, że jednak on sam osobiście jest za przyjęciem billu, gdyż jego zdaniem wykluczenie kobiet od prawa głosowania niejest ani wskazane ani usprawiedliwione lub politycznie uzasadnione. Whitehead ze stronnictwa liberalnego wnosił odrzucenie bilu. Ponieważ jednak dyskusya nad bilem przeciągnęła się poza godzinę, do której wedle regulaminu powinna była zostać ukończoną, a ponieważ nie będzie już sposobności do prowadzenia dalszej nad bilem dyskusyi, przeto należy uważać przedłożenie za odrzucone wskutek obstrukcyi, która uniemożliwiła Izbie wypowiedzenie w tej mierze swego zdania przez głosowanie. Przez to nie został jednak jeszcze usunięty dalej idący wniosek Ch. Dilkego (ze stronnictwa robotniczego), żądający wprowadzenia w Anglii p o w s z e c h n e g o głosowania b e z r ó ż n i c y p ł c i.

Pod wrażeniem tego wypadku nastąpiły dalsze starcia suffrażystek z Izbą gmin i z policyą. D. 12 marca 1907 odbyło się zgromadzenie publiczne z wieloma mowami i uchwalonemi rezolucyami, po którem około 800 jego uczestniczek usiłowało wtargnąć do gmachu Izby gmin, przyszło do starcia z policyą, przyczem 49 z nich aresztowano, a 76 policyjnie zasądzono na grzywnę względnie na więzienie. Wszystkie kobiety wybrały to ostatnie, z wyjątkiem jednej malarki norwegskiej, która oświadczyła, że niema czasu siedzieć w więzieniu i woli zapłacić, co też zaraz uczyniła. — A w chwili, w której te słowa piszemy, wyczytaliśmy znów w dziennikach, że suffrażystki londyńskie dokonały d. 17 stycznia 1908 ataku na pałac prezydenta gabinetu, korzystając z odbywającego się posiedzenia rady ministrów.

Aby policya nie mogła przeciw nim wystąpić, przybyły dorożkami. Kiedy pojawił się minister skarbu, sufrażystki rzuciły się na niego, policya tylko z trudem je odparła. Niektóre z nich przywiązały się łańcuchami do żelaznych sztachet pałacu, tak, że policya miała dość roboty, aby je z tych więzów uwolnić. Jedna z kobiet zdołała się dostać do mieszkania prezydenta gabinetu,

ale służba natychmiast ją wydaliła. Policya wreszcie opróżniła ulice i aresztowała wiele kobiet.

Podobne demonstracye suffrażystek odbywały się i później, aż dn. 28. lutego 1908 uchwaliła Izba gmin. na wniosek p. Stangera, odesłać sprawę prawa wyborczego kobiet do specyalnej komisyi, dla zdania sprawy.

Jako zadatek przyszłego prawa wyborczego może można uważać uchwaloną już przez obie Izby d. 12 sierpnia 1907 ustawę nadającą kobietom prawo wybieralności do rad municypalnych i rad hrabstwa. — Czynne prawo wyborcze do tych rad mają kobiety już od dłuższego czasu.

Lucien W o l f: Die „Suffragettes“ *(Neue freie Presse* z 7. kwietnia 1907) twierdzi, że powód do nowej ostrej taktyki kobiet angielskich w walce o prawo wyborcze dała okoliczność, iż ostatnia mowa tronowa w Anglii przemilczała zupełnie tę kwestyę, a żaden z 420 deputowanych, którzy byli dali uroczyste przyrzeczenie podniesienia kwestyi kobiecego prawa wyborczego podczas obrad nad adresem do tronu, niedotrzymał obietnicy i ani jednem słowem nie dotknął tej sprawy w dyskusyi. Jakkolwiek Wolf nazywa obecną taktykę suffrażystek „senzacyjną“, i składa znaczną jej część na karb „hysteryi“, to jednak konstatuje on, że publiczna opinia nie jest bynajmniej dla tej rzeczy obojętną, i że ruch feministyczny na tle prawa wyborczego cieszy się w kraju rozległem i rozgałęzionem poparciem; opisuje też szczegółowo objawy tego poparcia tudzież dzieje i formy organizacyi i działań, w których się ono objawia. Obszerne to exposé warte jest odczytania.

Wspomnieliśmy już, że w r. 1906 Sejm finlandzki uchwalił ustawę, przyznającą kobietom prawo wyborcze na równi z mężczyznami, a więc nietylko prawo wyborcze czynne, ale i prawo wybieralności do Sejmu Finlandyi. Kobiety finlandzkie nie były tak wstrzemięźliwe, jak ich koleżanki-wyborczynie w Commonwealth australskiem: odrazu zgłosiły liczne kandydatury i w obecnym Sejmie finlandzkim zasiada ich już 19. Wedle stronnictw należy je podzielić w następujący sposób: 1 ze szwedzkiego stronnictwa, 1 ze stronnictwa agrarnego, 2 ze stronnictwa młodo-fińskiego, 6 ze stronnictwa staro-fińskiego, 9 socyalistek. Według stanu cywilnego jest między niemi 9 mężatek a 10 panien i wdów. Wedle stałego zajęcia i zawodu wreszcie spotykamy w ich gronie 7 nauczycielek, 4 agitatorki zawodowe, 2 redaktorki, 2 robotnice przemysłowe, 1 chłopkę, 1 żonę księdza proboszcza ewangelickiego,

wreszcie 2 z nieokreślonego bliżej stanu średniego.[1]) Cztery z pomiędzy tych posłów-kobiet należy do „wielkiej komisyi“ mającej przygotowywać i opracowywać najważniejsze sprawy dla Sejmu; jedna, p. Hagemann, jest przewodniczącą komisyi petycyjnej. Czytamy w dziennikach, że posłowie-kobiety złożyły w Sejmie petycyę żądającą podwyższenia wieku, w którym wolno kobiecie wchodzić w związki małżeńskie. Gdy dotychczas mogą kobiety wychodzić za mąż już po ukończonych 15 latach, zażądały kobiety-posłowie podwyższenia tego wieku w drodze ustawy na lat 18, z powodów fizyologicznych, ze względu na duchową niedojrzałość kobiet 15-letnich i wreszcie ze względu na wymogi obecnego ustroju naszego życia kulturalnego. Wyjątki mogłyby być dopuszczone tylko na mocy specyalnego zezwolenia monarchy.

W English Woman's Review (angielskim przeglądzie dla spraw kobiecych) wyraża się hrabina Grippenberg bardzo niekorzystnie o działalności kobiet zasiadających w sejmie finlandzkim. Autorka twierdzi, że te panie biorą wprawdzie żywy udział w przeprowadzaniu ustaw popierających emancypacye kobiet, a mianowicie w przesunięciu o 3 lata — z 15 na 18 — wieku, w którym kobietom wolno wstępować w związki małżeńskie i w zapewnieniu kobietom niezamężnym prawa do rozporządzania majątkiem; — po za temi zasługami wszelako posłowie żeńscy nie wielkie przyniosą krajowi korzyści. Brak im wiadomości z dziedziny prawa i ekonomii politycznej. Po większej części kobiety, zwłaszcza ze stronnictwa socyalistycznego, zostały wybrane dlatego tylko, że są — kobietami. I tak np. w pewnej komisyi, zajmującej się sprawami konstytucyjnemi, zasiada kucharka; w komisyi, rozpatrującej budżet finansowy, bierze udział przekupka. Nic więc dziwnego, że mężczyzni zaczynają drwić, gdy kucharka rozprawia o zmianie ustaw konstytucyjnych, a kobieta, która dotychczas sprzedawała jaja i ser na targu, zabiera głos w sprawie budżetu państwa.

Nie chcemy bynajmniej twierdzić, jakobyśmy się z tym surowym poglądem autorki zgadzali, gdyż nie zawód i zatrudnienie, ale inteligencya, rozsądek i zdrowy rozum każdego osobnika — nietylko płci żeńskiej, ale i męskiej — decyduje o tem, czy kto

---

[1]) Powyższe daty wyjęte z artykułu Hjalmara-Brantinga: Das Wahlrecht der Frauen, umieszczonego w „Sozialistische Monatshefte“, August 1907.

może sobie urobić trafne zdanie i działać korzystnie w sprawach publicznych.

Norwegski Storthing uchwalił d. 15. czerwca 1907 ustawę o głosowaniu kobiet. przyznając kobietom czynne prawo wyborcze do Storthingu pod tymi samymi warunkrmi, pod którymi przyznano je kobietom już przed kilkoma laty przy wyborach gminnnych. Również nadano kobietom i bierne prawo wyborcze czyli wybieralność. Uchwała ta zapadła w Storthingu 96 głosami przeciw 25. Obecnie mogą więc kobiety oddawać swe głosy przy wyborach na członków Storthingu, jeżeli mają najmniej 25 lat i posiadają rocznego dochodu najmniej 300 Koron po wsiach a 400 Koron w miastach. Na tej samej podstawie mogą zostać wybrane deputatkami. Oprócz tego ustawa orzeka, iż nie jest obowiązkowe, aby oznaczony powyżej dochód roczny był wynikiem własnej pracy kobiety. Dość jest, aby taki dochód miał jej mąż. Ponieważ zaś dochód roczny 300—400 koron stanowi minimum dochodu rocznego mężczyzny w Norwegii, przeto wszystkie niemal kobiety zamężne norwegskie uzyskują prawo polityczne. Oparto się przytem na zasadzie, że kobieta zamężna i gospodyni domu „przykłada się do utrzymania rodziny nakładem pracy, za którą nie otrzymuje żadnego wynagrodzenia“. Ogólna liczba kobiet, które czynią zadość ustanowionemu cenzusowi. wynosi w Norwegii około 300.000. Przy uchwalaniu praw politycznych kobiety 48 członków Storthingu głosowało na rzecz prawa powszechnego bezcenzusowego, 49 za utrzymaniem cenzusu, a tylko 25 członków oświadczyło się przeciw wszelkim prawom wyborczym kobiety. Ponieważ zwolennicy prawa wyborczego powszechnego bez cenzusu majątkowego sami nie byli w możności przeprowadzić swego wniosku, mając przeciw sobie 49+25=74 przeciwników, przeto połączyli się z wnioskiem cenzusowym i przeprowadzili go większością 97 głosów przeciw 25. [1])

Odrzucono jednak w Storthingu wniosek domagający się przyznania kobietom powszechnego prawa głosowania. w tych rozmiarach w jakich je mają mężczyzni.

W Szwedzkim Riksdagu czyli Sejmie był także stawiany w r. 1906 wniosek analogiczny z norwegskim co do prawa wyborczego kobiet. Wnioskodawcami byli posłowie socyalistyczni i socyalno-radykalni. Wniosek upadł jednak większością głosów

[1]) Patrz Zeitschrift für Sozialpolitik, herausgegeben von Prof. Dr. Julius Wolf in Breslau, Heft 7/8 vom 1907, s. 499.

133 (pomiędzy którymi było i 15 głosów socyalistycznych) przeciw 91.[1]) Mimo to żywiono nadzieję iż w krótkim stosunkowo czasie Storthing zechce się okazać przychylniejszym tej myśli i zapowiadano czy nawet rozpoczęto powszechne kursa ludowe, mające kształcić kobiety w zasadach ekonomii społecznej i administracyi i przygotowywać je w ten sposób do życia publicznego. Nadzieja jednak zawiodła na razie, gdyż mowa tronowa którą nowy król Gustaw otworzył w styczniu 1908 Riksdag, oświadcza, iż wprawdzie projekt ustawy wyborczej, przyjęty przez poprzedni parlament, przedłożony będzie do ostatecznego zredagowania teraźniejszemu parlamentowi, nie można atoli spodziewać się projektu ustawy w sprawie głosowania politycznego kobiet.[2])

We Francyi utworzył deputowany Henry Chéron w lecie 1907 r. grupę parlamentarną, mającą dążyć do urzeczywistnienia praw kobiety i wygłosił przy tej sposobności mowę programową, wykazującą, jak dalece kobiety francuskie są wobec prawa upośledzone pod każdym względem, a zwłaszcza w kierunku prawa wyborczego.

Ostatnia wiadomość, jaka nas dochodzi o prawie wyborczem kobiet, przybywa z Holandyi. Rząd tamtejszy przedłożył w październiku 1907 r. Izbom niederlandzkim projekt zmiany konstytucyi, uchylający istniejące ograniczenia wyborcze, celem wprowadzenia powszechnego prawa głosowania, tudzież udzielający także kobietom czynnego i biernego prawa wyborczego.

W roku 1906 odbyło się wiele zjazdów i kongresów kobiecych, na których kwestya prawa wyborczego kobiet odgrywała pierwszorzędną rolę. W Kopenhadze otwarto 7. sierpnia 1906 r. obrady międzynarodowego stowarzyszenia dla kobiecego prawa wyborczego, odbywające się za współudziałem reprezentantek prawie wszystkich państw europejskich, tudzież Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej. Prezydowała p. Carry Chapman Catt, Amerykanka, która w ruchu kobiecym objęła miejsce zmarłej w podeszłym wieku p. Zuzanny Anthony. Jednym z najbardziej interesujących referatów było opracowane przez p. Amundsonn exposé o stosunkach Islandyi. Zdawano także sprawę z walki

[1]) Patrz Hjalmar Branting j. w.

[2]) Ma to być prawo wyborcze proporcyonalne, równe i bezpośrednie. patrz Starzyński: Różne projekta reformy prawa wyborczego, Lwów 1906, str. 270.

o prawo wyborcze w Stanach Zjednoczonych i w Niemczech, gdzie związek suffrażystek wręczył Sejmowi bawarskiemu petycyę dotyczącą przyznania prawa wyborczego kobietom. Uchwalono, że najbliższy kongres tego stowarzyszenia odbędzie się w r. 1908 w Holandyi. W Mannheim odbyło się we wrześniu 1906 r. socyalistyczne zgromadzenie kobiet, za współudziałem znanego niemieckiego deputowanego Bebla, zajmujące się głównie kwestyą uzyskania prawa wyborczego przez kobiety w Austryi, ze względu na dokonywującą się tam właśnie wtedy reformę wyborczą. We Wiedniu odbyło się dnia 17. października 1906 r. ogólne zgromadzenie kobiet w sali gremium związku kupieckiego. Na porządku dziennym stał temat: „Dlaczego kobiety muszą się domagać prawa głosowania?“ Jako referentki funkcyonowały znane przywódczynie feministycznego ruchu emancypacyjnego, Mrs. Chapman-Call z Nowego Yorku, prezydentka międzynarodowego światowego związku dla prawa wyborczego i p. dr. Aletta Jacobs z Amsterdamu, prezydentka holenderskiego stowarzyszenia dla prawa wyborczego; przewodniczyła wreszcie obradom znana austryacka przywódczyni ruchu kobiecego i autorka, p. Maryanna Hainisch. W obradach uczestniczył także poseł do Rady Państwa dr. Ofner, który zauważał, że kobiety Austryi zrobiły dotychczas o wiele za mało dla wywalczenia sobie prawa wyborczego. Prezydentka p. Hainisch zakomunikowała zgromadzeniu, że kobiety wiedeńskie wniosą do ciał ustawodawczych petycyę pokrytą tysiącami podpisów, domagającą się zniesienia postanowienia, zawartego w §. 30. ustawy o stowarzyszeniach z 15. listopada 1867 r., wedle którego kobiety nie mogą być członkami stowarzyszeń politycznych. Podobne petycye wpłynęły istotnie, a dnia 19. października 1906 r. jawiła się deputacya wiedeńskiego komitetu dla kobiecego prawa wyborczego, przed obliczem różnych wybrańców ludów austryackich i doręczyła im dwa memoranda; jedno dotyczące przyznania kobietom prawa wyborczego wogóle, a drugie żądające skreślenia wyrazu „kobieta“ w §. 30. ustawy o stowarzyszeniach z 15. listopada 1867. Posłowie oświadczyli, że o pierwszym postulacie trudno teraz myśleć, natomiast gotowi są wstawiać się ile możności za drugim. I rzeczywiście postawił już w nowej Izbie w czerwcu 1907 r. poseł Sustersič wniosek odpowiedniej zmiany cyt. §-u 30-go.

Tu należy nadmienić, że Namiestnictwo Dolnej Austryi zabroniło w styczniu 1907 r. zawiązania stowarzyszenia kobiecego dla wywalczenia prawa wyborczego, mającego w myśl statutu na

celu „uzyskanie zupełnego równouprawnienia kobiet z mężczyznami pod względem prawno-państwowym i zdobycie dla kobiet czynnego prawa wyborczego do wszystkich ciał reprezentacyjnych“, a zakaz swój motywowało Namiestnictwo właśnie powyższem postanowieniem §.[1] 3go, iż kobiety nie mogą należeć do stowarzyszeń politycznych, stowarzyszenie zaś, o którego zawiązanie chodzi, jest właśnie politycznem w najpełniejszem tego słowa znaczeniu.

STANISŁAW STARZYŃSKI.

(Dokończenie nastąpi).

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

(Ciąg dalszy).

Korzystając z poczynionych dotychczas spostrzeżeń, przystępujemy do rozbioru poszczególnych dzieł Wyspiańskiego. Nie układamy ich w porządek chronologiczny: nie zawsze dałby się dokładnie oznaczyć, bo nieraz utwór wydany później, koncepcyą sięga wcześniejszych czasów (tak n. p. Sędziowie, ostatni dramat powstał, a przynajmniej rozpoczęty był dawniej). Lecz obalając chronologiczne następstwo, wyciągamy tylko wniosek z zasadniczego naszego wobec autora stanowiska: widzimy go od początku do końca tym samym, zmiany, dostrzegalne i w nim, są naszem zdaniem nieznaczne. Chronologicznego porządku trzymamy się tam tylko, gdzie i w podstawowej idei utworów widocznym jest rozwój, postęp; tak n. p. Wesele, Wyzwolenie, Akropolis w tym porządku muszą iść po sobie, jak wychodziły, ale nie z materyalnych tylko lecz przedewszystkiem z wewnętrznych przyczyn. Grupujemy liczne skończone dzieła i ogłoszone dotychczas fragmenty według ich treści i związanego z nią stylu, bo w ten sposób unikniemy przeskoków a ducha poety w obrębie każdej z grup plastyczniej uwydatnimy. Szeregujemy zaś te grupy tak, by zacząwszy od względnie najbardziej przedmiotowej, dostarczającej najwięcej sposobności do czysto artystycznych uwag, posuwać się coraz dalej ku subjektywniejszym, dojść do najosobist-

szych dzieł, gdzie celem krytyki będzie nie tyle już analiza estetyczna, ile usiłowanie wniknięcia w tajnie ducha twórcy. A więc od dramatów, z realistycznego podłoża wyrosłych, powiedzie droga do klasycznych motywów, ztąd przez historyczne a potem historyczność z coraz większą swobodą przetwarzające, dojdzie się do ostatniej grupy, w której już niepodzielnie panuje zmagająca się z sobą myśl poety. Zarzutu „szufladkowania“ za słuszny nie uważamy, bo ostatecznie bez niego nie obejdzie się nigdy krytyka, mówiąca o wielu rożnorodnych objawach a chcąca nie tylko sobie przyjemność, lecz i czytelnikowi korzyść przynieść.

* * *

Dramatów na tle realistycznem napisał Wyspiański dwa. Dziwić się trzeba, nie że tylko, ale że aż dwa, że je wogóle pisał. Myśl Wyspiańskiego z natury koturnowa, wyobraźnia z natury wizyonerska, stroni od widoku zwykłych ziemskich rzeczy, a nawet wtedy, gdy na nie patrzy, wnet wzrok zapuszcza w dal i wzwyż, jak tego W e s e l e dowodzi. Co dziwniejsza jeszcze, oba te dramaty realistyczne należą do celniejszych dzieł autora, pierwszy jest jednem z najcelniejszych. Zagadka staje się jaśniejszą, gdy się uwzględni czas ogłoszenia pierwszego a przypuszczalnie i poczęcia drugiego, czas, kiedy Wyspiański był jeszcze więcej artystą niż wieszczem, wyładowywał z siebie moc tworzenia, a myśl jego obejmowała szerokie kręgi, by później dopiero skupić się w jednem palącem ognisku.

Poza tem ogłoszona w r. 1899 w Ż y c i u tragedya K l ą t w a, w zupełności znajduje miejsce w obrębie ogólnych ram portretu autora. Realistyczna w wyborze osnowy, sięga najwyższych szczytów wzniosłością idei, a sposobem wykonania jest rodzoną siostrzycą innych jego dramatów, duchem klasycznym owianych. Temat jeden z tych, które się „drażliwemi“ nazywa: ksiądz, żyjący z chłopką i mający z nią dzieci. Nie jeden Wyspiański go w dramacie opracował: znamy drukowany w r. 1900 dramat niemiecki *Das Unabwendbare* Maksymiliana Dauthendey'a, a cytujemy go, by z krótkiego porównania skorzystać przy ocenie K l ą t w y. Oto Dauthendey układa rzecz na wyraźnem tle historycznem, nazywając ją „sceną z czasów wprowadzenia celibatu“ (zatem wiek XI., panowanie papieża Grzegorza VII.) i rzeczywiście historyczny koloryt chwili maluje. Wyspiański natomiast dra-

mat stawia poza obrębem jakiegokolwiek czasu, chociaż zapewne o tym samym myśli, podaje tylko określenie lokalne: „we wsi Gręboszowie pod Tarnowem“, a w przepisach dekoracyi odtwarza plebanię bez żadnych cech historycznych, tak dobrze „starą jak i dzisiejszą. Dauthendey trafniej postąpił niż Wyspiański. Pomińmy już to, że polski poeta, dopuszczając domysł, jakoby dzisiejsze stosunki przedstawiał, utrudnił dramatowi wstęp na publiczne sceny — co przecież bądź co bądź nie powinno być dążeniem autora. Ale co ważniejsza, wprowadził do sztuki niejasność, bo stanowczo czasu akcyi nikt nie zdoła podać, a przez to także i osłabił tragiczność sytuacyi. Bo bez względu na stanowisko, jakie się zajmuje wobec kwestyi celibatu duchowieństwa, przyznać się musi, że inaczej wygląda ksiądz, żyjący z kobietą w wieku XI., inaczej tak samo postępujący w wieku XIX., nie mówiąc już o tem, że w tym ostatnim rzecz zakończyłaby się inaczej, bo interwencyą przełożonej władzy kościelnej.

Z temi zastrzeżeniami Klątwa jest istotnie wspaniałą tragedyą. Jej tragizm jest naturalny, dla każdego zrozumiały, nie naciągnięty, a rozwija się stopniowo, załamując się dopiero przy końcu. Idzie to stopniowanie przez szemranie ludu, który spiekotę uważa za karę grzechów księdza, przez surowe słowa pustelnika i ból matki, w synu zawiedzionej aż do postanowienia gromady, by dla przebłagania Bóstwa spalić stos ofiarny i do postanowienia Młodej, by z dziećmi na tym stosie spłonąć. Tutaj jednak się załamuje. Matka rzuca w płomień dzieci, sama nie ma odwagi iść za niemi, lecz porwawszy gorejącą żagiew, szalona pędzi na wieś, podpalając chaty, aż pada pod razami kamieni, ciskanych przez tłum. Zakończenie niewątpliwie efektowne, być może, że jedyne możliwe z teatralnych względów, mimo to jednak znając Młodą, przypuszczałoby się raczej, że sama spłonie a nie będzie mieć odwagi poświęcić dzieci. Nad tem wszystkiem unosi się ponura myśl klątwy, kary za grzechy, kary dobrowolnie sobie wymierzonej, strasznej jak strasznym był popełniony grzech. Myśl to w swej surowości bezlitośnie twarda, oświecona błyskawicami zabobonów i wierzeń ludowych, przenosząca czytelnika w zamierzchłe czasy nieubłaganego pojęcia winy i kary, to też tutaj powtórnie żałować przychodzi, że historyczne tło wyraźniej nie zostało podmalowanem. Poeta myśl tę wypowiada rozmaitemi słowy przez usta prawie wszystkich osób dramatu, przez co słuchaczowi narzuca ją suggestywnie tak, że dopiero ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, pytamy się, czy też ta idea istotnie

w utworze, w losach akcyi znajduje swój wyraz. Dobrowolnie nikt nie ponosi kary: dzieci idą na stos, prowadzone poniewolnie przez matkę, ona sama ginie ukamienowana przez tłum, chcąc poprzednio uratować życie; a ksiądz? ten, bądź co bądź jeśli nie jedynie, to najbardziej winny, uchodzi z życiem: pędzi szalony na oślep, za nim gonią chłopi, którzy prawdopodobnie nie dopuszczą, by z rozpaczy popełnił samobójstwo. Czyż więc sąd jest sprawiedliwym, czy kara w każdym wypadku odpowiada winie? Pytać o to wolno, w tym właśnie utworze, z góry osadzonym na moralnych pojęciach. Prawda: Ksiądz w bolu woła:

„O Panie! Ty ponad odmętem,
Co sądzisz niezbłaganie,
Jakichżem godzien inszych kar,
Jak te, co patrzę na nie!...“

mimo to jednak oczekiwało się jakiejś namacalnej kary na niego, bo wszak dramat zresztą w całości nie zadowala się ideą moralną, lecz zawsze żąda zmysłowego, prawie brutalnego jej kształtu. Więc może poeta umyślnie wypowiedział tu, ratując księdza od materyalnej kary, ironiczny pogląd, że kara spada na mniej winnych, najwinniejszych oszczędza? Odpędzić trzeba to przypuszczenie precz od siebie, bo najlżejszy przejaw ironii z zasadniczą surową powagą Klątwy nie licuje.

Poważne to zarzuty i przemilczeć ich nie możemy. Ale przyznajemy, że gdybyśmy widzieli Klątwę w teatrze, nawet nam samym by one na myśl nie przyszły, tyle suggestywnego tragizmu bije z tych scen. Niemałą część tego czasu przypisać należy językowi dramatu, pełnemu twardej zwięzłości, umiarkowanego archaizmu, pierwotnej a tak nastrojowej dosadności, wolnemu zaś od wszelkiego nadmiaru obrazowości i zmanierowania, które każą inne utwory. Ma Klątwa przepyszne miejsca, zwłaszcza w słowach księdza i chóru, jak n. p. wzorowany na Bogarodzicy hymn:

„Straszny Sędzio
spuść srogości.
Ziści nadzieję. —
Jakoś dawał w obfitości,
dziś mej Skrusze zwól Litości,
grzeszny boleję.“ —

Przytem zaś pozostaje zawsze w obrębie naturalnego zabarwienia, stosownie do kulturalnego stanu osoby, która się nim

posługuje, raz tylko przeciw temu grzesząc: tam, gdzie Młoda tak za dziatkami Boga prosi:

„Weźmij je do się w niebo twoje,
gdzie złote słońce w ogniach wre,
za Empirejskich bram podwoje.“

A tak Klątwa z pod surowej oceny wychodzi z małym zaledwie uszczerbkiem, jako wzruszający dramat, jako niezbity dowód tragicznej siły Wyspiańskiego, tem bardziej przekonywujący, że odwołujący się do naszego ludzkiego a nie narodowego uczucia, do którego apel zazwyczaj bywa łatwiejszym.

O Sędziach (z r. 1907) tych pochwał już powtórzyć nie można. Podobni do Klątwy realistycznem tłem, różnią się od niej w treści tem, że realizm tutaj czasami trywialnością trąci. Żyd karczmarz, chłop zrozpaczony nałogowy pijak, dziewczyna dzieciobójczyni — to są elementa naturalistycznego dramatu w stylu niektorych dramatów Hauptmanna, lecz nie nadające się do stylu Wyspiańskiego, zawsze na koturnach chodzącego. Jeśli jest prawdą, że autor osnuł rzecz na wspomnieniach jakiegoś niedawnego procesu w Galicyi, to szczegół to oczywiście dla krytyki estetycznej obojętny, dla badacza psychologii Wyspiańskiego już cenniejszy, bo w takim razie byłby to dowód, że bezpośrednie zetknięcie się poety z codziennem pospolitem życiem dobrych owoców nie wydawało. Opracowanie tematu podobne jak w poprzednim dramacie, tylko tutaj wskutek tego istnieje przykry rozdźwiek pomiędzy formą a treścią, stylem tamtej a bezstylowością tej. Odnosi sie to przedewszystkiem do wspomnianych już trzech osób, które dźwigają na swoich barkach większą część zewnętrznej akcyi: żyd rozpija chłopa i robi z niego żebraka; Jewdocha, kochanka syna Samuela, Natana, zabija dziecko. Do nich przyłączaja się inne postaci, z których jedna, Jukiel, właściwie jest zbyteczną, druga, Urlopnik, brat Jewdochy, jako postać jest bladą kopią Valentina z Fausta i tylu innych braci, mszczących krzywdę sióstr, a potrzebny jest autorowi do zamknięcia materyalnej treści kryminalistyczną zagadką: podczas sprzeczki pomiędzy bratem, siostrą i kochankiem wypala rewolwer jednego z mężczyzn — ale którego? — i dziewczynę kładzie trupem; trzecia wreszcie osoba, sensytywny Joas, drugi syn Samuela, odmienny od otoczenia, jest narzędziem w ręku poety do przeprowadzenia idei utworu: Joas umiera z bólu na widok nieprawości

ojca. Samuel jest złamany stratą syna, dla którego te nieprawości popełniał. I tu jest więc „klątwa“ grzechu, postulat kary za winy. Z etycznego punktu widzenia problem jest konsekwentniej przeprowadzony, niż tam. Kara spotyka winnych (dla Joasa śmierć nie jest karą, lecz ucieczką ze świata, w którem to, co miał najdroższego, błotem się splamiło); artystyczny sąd jednak Sędziów ustawi bez porównania niżej niż Klątwę, odmawiając im jej prostolinijnego a tak wzniosłego tragizmu.

W Klątwie echa klasycznego dramatu odzywają się dosłyszalnie: ztąd się wywodzi nieubłagany przymus tragiczny, ztąd bierze także początek chór włościan, przemawiający w jego duchu. Na gruncie klasycznych mitów i motywów, Wyspiański czterykroć stawał: w dwóch samodzielnych dramatach i w dwóch opracowaniach homerowskiego eposu.

W Meleagrze (z lat 1894—1897), na tle starogreckiego mitu osnutym, Wyspiański miał poprzedników w kilku poetach, że wspomnimy tylko ze starożytnych Euripidesa, z nowoczesnych z obcych Heysego, z polskich Faleńskiego *(Althea)*, zależnym jednak od nich nie jest. Punktem wyjścia była dla niego zapewne sytuacya matki Meleagra, Altei, która wie, że syn jej tak długo będzie żyć, dopóki nie spłonie głownia, a zagniewana na niego teraz ją, niegdyś przy jego urodzeniu własną jej ręką wyrwaną z ogniska, w ogień rzuca i patrzy straszliwym wzrokiem, jak płomień drzewo pożera: sytuacya ponętna dla malarza. W dalszym ciągu poeta musiał w micie dostrzedz przejawu zasadniczej swej idei o karze za popełnione winy. Chór kończący tragedyę wypowiada przekonanie, że „wszystkie się winy muszą zrównać i wypłaty czas nadejść musi“, a słowa te są syntezą wszystkich poprzednich chwil dramatu: winną w obliczu bogów jest Altea, bo poświęcona dziewiczej Dyanie, została żoną Oineusa; przeklętym jest owoc jej małżeństwa, Meleager, a skutki tej klątwy bogów: miłość Meleagra i amazonki Atalanty, zazdrość matki o nią; spór jej braci z siostrzanem, zabicie ich przez Meleagra, jego i kochanki śmierć, samobójstwo matki — to wszystko jest koniecznem, by dopełniły się wyroki przeznaczenia.

Wyspiański uległ złudzeniu, gdy w tej opowieści widział ilustracyę swego pojęcia o winie i karze. Nowoczesny czytelnik dostrzeże w tem jedynie działania fatalizmu, a ostatecznie z ca-

łego mitu przyjmie tylko ową jedną sytuacyę: matkę z głownią, nie tłumacząc jej wcale, biorąc ją tylko jako malowniczy obraz (chyba, że wzorem Heysego podłoży pod nią konflikt pomiędzy matką, z nadmiernej miłości synem zbytecznie się opiekującą, a synem, w młodzieńczem dążeniu do samodzielności zrywającym nawet te drogie kajdany). Meleager Wyspiańskiego cierpi na organiczną wadę, na sprzeczność w samym sobie: figury ma starożytne i starożytny fatalizm, mimo to jednak poeta wtłoczyć w niego usiłuje zasadniczo odmienne własne idee, a przybiera dramat w poetycką szatę, która ani nie ma szlachetnej prostoty antyku — bo zalatuje tu i ówdzie modernistycznem przerafinowaniem, ani nie ma nowoczesnej charakterystyki indywidualnej — bo ziębi nieraz antycznym chłodem.

Szczęśliwszą próbą neoklasycznego dramatu jest Protesilas i Laodamia (z r. 1899 jak Klątwa). Dramatu? Może nie. Nie ma dramatycznego pierwiastku w micie starogreckim: Protesilaos, mąż Laodamei, padł pod Troją; wdowa uprosiła u bogów, że zmarły wrócił do niej na chwilę z podziemnego świata, a potem sama się zabiła, by się z nim połączyć. Nie ma dramatycznego pierwiastku u Wyspiańskiego, który, jak w Meleagrze, mitowi wiernie towarzyszy, podciągając go pod swoje pojęcie winy i kary o tyle, że wczesne wdowieństwo jest karą dla Laodamii, ponieważ Protesilasa poślubiła wbrew woli rodzica i za to przez niego przeklęta została. Nie dramat więc mamy przed sobą, ale jedną jego scenę, od początku do końca w lirycznym tonie trzymaną: żale młodej wdowy, tęsknotę za małżonkiem, samobójstwo jako rezultat obu. Erotyzm tej lirycznej sceny, bardzo wyraźny, może jak nigdzie zresztą u Wyspiańskiego, ma odrębną cechę wskutek tego, że tu młoda wdowa opłakuje młodego małżonka, z którym niedawno jeszcze miłosne szczęście dzieliła:

„Płomienne ramion twych uściski
w mych snach mnie dzierżą, gonią;
namiętne w oczach żary, błyski
w mych snach me lica płonią;
wróć do mnie, wróć,
    choć jedną chwilę
niech będę z tobą zespolona,
wróć do mnie, wróć
    choć jedną chwilę, —
niech nieszczęśliwa, zszczęśliwiona
rozkoszy zaznam, ja wzgardzona,
która samotna legam w łożu.“

Przez to poemat wprowadza do polskiej literatury rodzaj erotyzmu dotychczas nieznany, co ważniejsza zaś, dzięki gorętszemu zabarwieniu (nigdy jednak do jaskrawości nie dochodzącemu) nie spostrzega się tak prędko jednostajności tych wdowieńskich skarg i płaczów. Piękność ich wyrażania się jest niezaprzeczoną. Ktoby tu wystąpił z zarzutem, że takim językiem nie mogła mówić mityczna Laodamia, tego odsyłamy do przytoczonego zdania Herdera. — Miasto dramatycznego pierwiastku Wyspiański wprowadza czynnik obrazowy: Protesilaos i Laodomia to najcudniejszy ze znanych nam tekstów do żywych obrazów. Więc zjawiska Snu, Nudy i Zmory, więc widzenie zbrojnego korabiu i śmiertelnej walki bohatera, przez swoich zdradzonego, więc Hermes z otwartego grobowca prowadzący zmarłego ku wdowie, więc łódź Charona i zamykające się wrota katakomby. W teatrze to wszystko pod ręką poety, którego barokowe skłonności już znamy, przybrało kształt zbyt wypukły, w obrazach świetlnych zachowałoby charakter wizyonerski a licowałby z niemi także lepiej na wskróś liryczny nastrój poematu.

W obu dramatach, bezpośrednio starogrecki mit odtwarzających, Wyspiański okazał niezwykłą u poetów powściągliwość; w obu utworach parafrazujących opowiadanie Homera w charakterystyczny dla siebie sposób rządzi materyałem i jego zarysami z samowolą, nie znającą granic. Z tych powodów zarówno Achilleis (z r. 1904), jak i Powrót Odyssa (z r. 1907) są ważnym przyczynkiem do psychologii czy patologii artysty, ktory ilekroć zetknął się z tradycyą poetycką: z Homerem czy Corneille'm, z Szekspirem czy Mickiewiczem, zawsze z umyślną dumą samodzielność swej osobistości podkreślał, natomiast jako dzieła poetyckie nie wiele ważą. W pierwszem z nich Wyspiański nie zdołał opanować epickiego wątku, nie tylko obficie, zbyt obficie z Iliady czerpanego, lecz powiększonego ponadto dalszemi podaniami o zdobyciu Troi. Ztąd rozwielmożnił się w Achilleidzie chaos denerwujący, bo często bezcelowy i z nieudolności twórcy wynikający, szczególnie w mnóstwie scen, poświęconych sprzeczkom greckich wodzów o porwane trojańskie dziewczęta, chaos dziwaczny tem bardziej, że poeta skupił tę gmatwaninę wydarzeń na modłę francuskiej tragedyi w przeciągu bardzo krótkiego czasu. Pierwszy to w naszym przeglądzie przykład zgubnych skutków, braku uprzedniego skrystalizowania całokształtu budowy dramatu, a że ich około tego czasu jest więcej, że ich zaś nie było jeszcze w epoce Klątwy a nawet Warszawianki, to zmusza do

smutnych wniosków o wstecznym pochodzie rozwoju techniki Wyspiańskiego. Wadliwy w kompozycyi dramat ten jest nim także w pojęciu bohatera. Zajęliśmy nader liberalne stanowisko wobec neoklasycznych sztuk, nie wymagając od nich bynajmniej, aby pisały się jako kopie Sofoklesa i Eurypidesa. Lecz Achilles Wyspiańskiego nie jest ani Achillesem Homera ani przypuszczalnym Achillesem Homera wieku dwudziestego. Ten sentymentalno-moralizatorski Achilles, blady i zamyślony, nie jest Achillesem wogóle, podszywa się pod jego nazwisko, nie był pod Troją, ani pod Troją Homera, ani pod Troją naszych pojęć. Fale śpiewają mu (nawiasem mówiąc: jak te dwanaście fal na przemian śpiewających w teatrze przedstawić?):

„Przemóż Śmierć! — Ducha
twego siłą zgonu mierzą!“

i w tych słowach, będących zasadniczą myślą utworu i Wyspiańskiego wogóle, w tych słowach literalnie wziętych, może być dająca się zastosować do Achillesa i innych bohaterów prawda: gdy już masz umierać, umieraj godnie. Ale fałszywemi są one w dramacie bohaterskim w znaczeniu pełniejszem, jak je poeta wypowiedział: bo Achilles ani żaden jemu podobny bohater nie będzie dążył *a priori* do śmierci, w niej celu swoich wojennych czynów widzieć nie będzie, chyba, że... nie jest Achillesem, ale n. p. cierpiącym na „weltschmerz“ romantykiem.

W porównaniu z tym utworem Powrót Odyssa jest znacznie lepszym. Nie „sceny dramatyczne“, jak tam, ale rzeczywiście „dramat“, chociaż ściśle biorąc, nie „w trzech aktach“ ale w dwóch. Powrót Ulyssa i jego rozprawa z zalotnikami zamykają się bowiem w pierwszych dwóch odsłonach, trzecia, o charakterze lirycznym, jest jedynie ideowem dopełnieniem tamtych. Rozdział pożądany o tyle, że przynajmniej dwa akty dzięki niemu, zachowały swoją spoistość, z drugiej jednak strony znowu dowód niedostatecznego opanowania techniki, bo przecież wprawniejszy poeta byłby oba elementy z sobą sprzągł. I bohater dramatu nie razi tu fałszem, wypełniającym postać Achillesa. Wyspiański pojmuje Odyssa już w Achilleis bez tej sympatyi, jaką się ma dla niego zazwyczaj, tutaj złowrogie cechy jego charakteru jeszcze uwydatnia. Odysseus jest u niego „straszliwą, mściwą ręką Boga ścigany“ jest przeklęty:

„Ja to mojego ojca precz wyzułem
z władzy, ja psami precz za dwór wyszczułem,
chciwy władzy, — pierwszeństwa chciwy i sytości.“

Mit o tem, o ile wiemy, nic nie mówi, ale że ten rys, choćby był przez poetę wymyślony, zasadniczego typu Odyssa nie krzywi — jak to jest w Achilleidzie — przyjąć go w końcu można. Wyspiańskiemu potrzebny on jest do skonstruowania tragizmu bohatera i umotywowania jego śmierci. U Homera Teiresias przepowiada Ulyssowi spokojną śmierć w starości, późniejsza saga opowiada, że wylądowawszy w Itace, został zabity przez zrodzonego z Kirką syna Telegona. U polskiego poety Odysseus oczekuje, czy boi się, że skutkiem ciążącego na nim przekleństwa za sponiewieranie Laertesa:

„że śmierć mnie — czeka, synu, z twojej ręki!“

mówiąc te słowa do Telemaka. W trzecim zaś akcie na skalnem pustkowiu nad morzem ścigany widmami, (Harpii rzuca rozpaczliwą obronę: „ja nie zabiłem ojca, — nie!“), wabiony przez Syreny wbiega w fale morza, w jego nurtach znajdując „wybawienie“. Katastrofa zgodna i z podstawą filozofii Wyspiańskiego i z konstrukcyą bohatera, wrażenie jej jednak jest słabe, bo chociaż nie ma w tem fałszu, to jest jednak rozbieżność pomiędzy tem pojęciem Odyssa a mityczną i poetycką tradycyą, od czego autor ustrzegł się i w Meleagrze i Protesilasie.

Zarówno więc Powrót Odyssa, jak w wyższym jeszcze stopniu Achilleis są tworami nieudałemi. Stwierdzając fakt, nie przypisujemy mu bynajmniej wielkiego znaczenia. Wniosku, że Wyspiański starożytnego świata bądź nie rozumiał, bądź odtworzyć nie potrafił, wysnuć ztąd nie wolno. Przeciw fałszom tych dwóch dramatów staje bowiem prawda dwóch innych, wprost z mitu wziętych (taki znawca antyku jak profesor Morawski „podziwia Wyspiańskiego intuicyę greckiego dramatu w Meleagrze i Protesilaosie“). Podwójne niepowodzenie dowodzi tylko, że specyalnie homerowskiego mitu nowożytny poeta tknąć się nie powinien, bo zaciąży nad nim „klątwa“: „Klątwa“ tylu wieków humanistycznej kultury, przerobionej w krew naszych żył a każącej nam tego właśnie bajecznego pieśniarza uważać za *noli me tangere*. Może kiedyś się to zmieni, na razie jednak „klątwa“ ścigać będzie każdego poetę, choćby nim był nawet z wielkich największy: sam arcymistrz Goethe. Miał on przecież łatwiejsze

zadanie, bo zachował epickość a mimo to jego Achilleis jest dalibóg nie lepszą od Wyspiańskiego. I dlatego w sądzie o nim ani Achilleis ani Powrót Odyssa nie zaważą nic, trzeba je tylko wogóle za nawias postawić.

Porzucając neoklasyczne utwory Wyspiańskiego, a przechodząc do „polskich“ (bo fragment Juliusza II., jedyna próba dramatu na tle obcych historycznych stosunków jest zbyt drobnym ułamkiem), ma się przed sobą już grupy z liczniejszych ogniw złożone. Wydzielmy i tutaj jeszcze fragmenty Zygmunta Augusta i Barbary oraz Samuela Zborowskiego: oba jako urywki oceniane być mogą tylko zewnętrznie, a wtedy przedstawiają się jako odnogi omówionej już sympatyi poety dla pseudoklasycznej tragedyi francuskiej. W dwóch kierunkach idzie ten wpływ w obu fragmentach: z Francyi wzięły one szeroki, wspaniały giest, ztamtąd także rozlewną wymowę. Zwłaszcza bardziej znany Zygmunt August ma świetną retoryczność, lubującą się w bogatem stylizowaniu jednego i tego samego momentu, w akcyi czy w uczuciu.

Pozostają więc dwie wielkie grupy: jedna „piastowska“, od zamierzchłej przeszłości Polski aż do śmierci ostatniego z rodu króla, druga, zapatrzona w listopadowe powstanie a stanowiąca pomost do najosobistszych dramatów.

Legenda jest najdawniejszym dramatem Wyspiańskiego i jest owocem najdłuższego czasu, bo zaczęta w Paryżu w r. 1892, skończoną została dopiero w Krakowie r. 1897. Śladów tych dwóch okoliczności nie wiele ma: jest dziełem jednolitem, jest także prawie zupełną ilustracyą twórczości Wyspiańskiego bez względu na datę. Że w niej są tak silne echa Ryszarda Wagnera, o tem już była mowa; że wprowadzone tu po raz pierwszy symbolistyczno-fantastyczne postaci — Łopuch, Śmiech — pojawią się i później, o tem jeszcze nieraz będzie mowa. Jej najłatwiej dostrzegalną oryginalnością, odróżniającą ją od wszystkich Wand — łącznie z dramatami Krasińskiego i Norwida — jest usunięcie Rytygiera za kulisy. Ani to kaprys poety, ani przypadek, tylko konieczność. Tragedya nie darmo zwie się Legendą: jest nią rzeczywiście, chce nią być i w mowie i w stylu i dlatego musi oddalić jedyną postać, którą inaczej trzebaby traktować realistycznie, (bo na tani „symbolizm“, na przedstawienie w Ry-

tygierze uosobienia dzikości teutońskiej, Wyspiański bądź co bądź zanadto jest prawdziwym artystą). Wobec tego stanowiska poety, dobrowolnie ograniczającego się, nie można mu, jeśli się chce być bezstronnym, żadnych czynić zarzutów, że w obrębie legendarności jest swobodnym, że legendę własnemi dodatkami uzupełnia. Jak przy neoklasycznych dramatach jedynym hamulcem wyobraźni mogła być tylko konieczność zachowania przekazanych od wieków zarysów akcyi i charakteru, tak tutaj tem bardziej nie ma się prawa bronić poecie swobody, byleby konturów mitu o Wandzie nie sfałszował. Gdzież są te dodatki?

Krak z boleścią wspomina:

„moje syny...
nieszczęsna dumo,
żądz niesyta chciwość
niegodną miłość zapala we krwi
ze serc krew strugą toczy.“

A Łopuch i Śmiech śpiewają w balladzie o Wandzie:

„— brat od miecza zabity
miecz u ciebie ukryty
pod kożuchem,
ty idziesz za marami
zawodzisz, ręce łamiesz
brata płaczesz, a kłamiesz.
— — — — — — — —
— siostrzyco urodziwa
ty jedna nieszczęśliwa
przyczyną,
że była z bratem zwada,
że brat od miecza pada;
mnieś twoich ust broniła
a jemu byłaś rada,
miłosna.“

Zatem zdrożna miłość braci do siostry, jednemu przez nią odwzajemniana, skutkiem tego walka między synami Kraka i bratobójstwo. W legendzie tego nie ma. Że Wyspiański to dodał, i dlaczego, to zrozumie się, domyślając się, że i tutaj chciał wprowadzić czynnik kary za winę, działanie klątwy, ustępującej dopiero przed wszechmocą śmierci. Dodatek ten uważać można by za dozwolony, chociaż nie niezbędny, w obec tego, że — jak niebawem zobaczymy — ofiarna śmierć Wandy gdzieindziej jest do-

statecznie uzasadnioną. Ale odpycha nas od tego motywu jeden bardzo ważny jego szczegół: Wanda odwzajemniająca zdrożną miłość jednego z braci. To już krzywi legendową postać córki Kraka, a da się tylko wytłómaczyć tem, że poeta zapatrzony w klasyczny dramat w inceście widział poetycki motyw. Drugi dodatek zawarty jest w dalszym ciągu ballady:

„matka nam powiadała,
że cię znajdę chowała
porzuconą w szuwarach:
tyś jest rusałna wodna
o ciebie się upomni
woda.“

Znowu wymysł, ale bardzo szczęśliwy: poecie idzie na rękę, bo wyjaśnia katostrofę dramatu, legendowej zaś charakterystyce Wandy nie tylko nie szkodzi, lecz owszem znakomicie ją uzupełnia. Temu bowiem bajecznemu pochodzeniu Wanda zawdzięcza zwycięstwo nad przemożnym wrogiem, ale ono także wymaga od niej dobrowolnej śmierci, bo „Wisła woła“, by jej „wróciła wianek“. A tak w całości L e g e n d a jest dziełem pięknem i z małemi zastrzeżeniami, stylowem. Ma tragizm prosty a wyniosły, ma język poetyczny i nastrojony, rzadko chyba tylko sztuczny, ma wiersz doskonale modulowany. Nadewszystko zaś ma cudowną malowniczość: dekoracya drugiego aktu ze skalistem dnem Wisły z Krakiem, leżącym martwo w koronie z krzaków koralowysh, a w górze z promem, wieńcami ozdobionym — w teatrze, jak się okazało, niewykonalna, w wyobraźni czytelnika tworzy przepiękne ramy utworu.

Z bajecznych czasów czerpie ogłoszony w K r y t y c e w r. 1903 fragment rapsodu o P i a ś c i e, lecz sięga dalej i nowszych lat, nawet o przyszłość zawadza. Jak w III rapsodzie K r ó l a D u c h a Słowackiego widmo Piasta opowiada o swoich przeszłych dziejach. Opowiada o dwóch pielgrzymach, co w imię Boga przyszli do niego, a tacy byli, iż przeczuł,

„że tajemnicę wnieśli w dom mój kmiecia
i że ta pójdzie klątwą przez stulecia.“

Przyjął ich gościnnie, a oni pobłogosławili mu syna ciężkiemi rękami; potem syn zabija knezia Popiela i z chłopstwem na czele rzeź czyni wśród królewskiej świty. Tu przerwa gwałtowna. W dru-

gim fragmencie, ponurą datą „1846“ opatrzonym, Piast „ocknął się wśród krwi rozlewu“, jako gromadzki król, otoczon tłumem chłopstwa z kosą z pod Racławic. „Stała się zdawna rzeź przepowiadana, rzeź za pieniądze“. Przeklina ich Piast, ale zarazem pyta:

„Kiedyż zobaczę was zmartwychwstających,
wy z polskiej gleby rodzeni polscy święci.“

i wierzy, że nadejdą czasy, kiedy oni wezmą „wództwo narodu“. I na tę przyszłą chwilę ich wzywa, „mściciele natchnionych“:

„Kiedyż was ujrzę wstałych w złotej dumie,
we świętym blasku pychy nieugiętych;
was, którzy twarzą przepadliście w tłumie
pokornej nędzy ducha, was przeklętych;
których duch dziś z podłości wzróść nie umie
do wielkich czynów, wam przed Bogiem świętych.
Kiedyż zerwiecie się na rzeź Kainy.
byście dowiedli, że zmyć chcecie winy?!
— — — — — — — — —
Chcę rzezi, żeby wszystko krwią spłynęło,
żeby się podłość Polski w niej obmyła,
by się zbliżyło k'nam spragnione dzieło,
na którem przyszłość narodu spoczęła;
by krwią i ogniem pożarów objęło
wszystko, co pamięć w przeszłości przeklęła;
i pokolenia szły pokoleniami,
już niepamiętne hańby, co nas plami.“

Przytoczyliśmy większe wyjątki Piasta, by zyskać podstawę do oceny jego myśli. Najprzód ci wysłańcy Boga, co przynieśli z sobą klątwę, przez stulecia idącą: oczywiście święci Cyryl i Metody. „Klątwę?“ Czy dlatego, że przynieśli z sobą chrześcijaństwo? czy dlatego, że obrządek rzymski? Ale niepewni, jak Wyspiański ten ustęp rozumiał, możemy pojąć dokładnie sens dalszych zwrotek drugiej części fragmentu, tam gdzie jest mowa o rzezi. Ze znanych nam krytyków Wyspiańskiego jeden p. Kotarbiński nad temi wierszami się zastanawia (prof. Tarnowski Piasta, niestety zdaje się nie zna...) i wybucha tu nadzwyczaj silnem oburzeniem, zwiąc to miejsce „najdzikszym, najokrutniejszym odzewem w całej naszej współczesnej poezyi“, potępiając „szał przewrotowy“ i oddanie poezyi „na usługi najkrwawszego radykalizmu rewolucyjnego“. Oburzenie byłoby aż nadto słusznem, i sami w zupełności przyłączylibyśmy się do niego, gdyby...

gdyby Wyspiański w tych słowach istotnie wzywał do rewolucyi społecznej, do bratobójczej rzezi. Ale tak nie jest, dzięki Bogu nie jest. Bo oto kilkanaście wierszy przed zacytowanem miejscem czytamy w Piaście słowa, przeoczone zapewne przez p. Kotarbińskiego:

„Jak mu kazano kosą rzezać braci,
podłym cezarom czterykroć odpłaci.
— — — — — — — —
A gdy weźmiecie wy wództwo narodu,
to pamiętajcie, jaka wasza dola:
iść tam, gdzie byli legli bracia rodu,
na Racławickie i grunwaldzkie pola
i sycić krwią poległych żądzę głodu.“

Co to znaczy? To znaczy, że nie do bratobójczej rzesi Wyspiański chłopów wzywa, ale do walki o niepodległość narodu, do walki, któraby z ludu wiejskiego zmyła hańbę roku 1846. Bo kogóż to bić będą wieśniacy pod Racławicami i Grunwaldem? Chyba nie swoich... Obroniwszy pamięć poety od zarzutu, który byłby najcięższym w naszych oczach, gdyby był słusznym, możemy w Piaście stwierdzić najsilniejszy może wybuch temperamentu poety, który był istotnie „jak meteor, jak błyskawice“. Ze stanowiska estetycznego natomiast krótki ten fragment znaczy mało, bo potężne myśli przyobleczone są w skromny i konwencyonalny tylko płaszcz poetycki.

Inaczej jest z ogłoszonym w r. 1900 rapsodem o Bolesławie Śmiałym, obok którego stawiamy tu zaraz złączone z nim treścią dramaty: Bolesław Śmiały (z r. 1903) i Skałka (z r. 1907). Nie mając powodu nie wierzyć samemu poecie, trzeba odłączyć ten cykl od Króla Ducha, który zresztą przerwany jest jeszcze przed dokonaniem zabójstwa biskupa. Za punkt wyjścia należy raczej uważać własny witraż Wyspiańskiego: wtedy rapsod będzie poetycką jego parafrazą czy illustracyą, oba dramaty zaś dalszem jej rozwinięciem, spowodowanem może ustawicznem w ostatnich czasach roztrząsaniem tej dziejowej zagadki przez historyków polskich. Jeśli to jest prawdą, to i tak pobudzenie było jedynie zewnętrzne, bo Wyspiański poza tem jest zupełnie niezależnym zarówno od licznej rzeszy poprzedników, piszącym powieści, epopee i dramaty o Bolesławie Śmiałym, jak i od uczonych, rozważających zawiłe pytanie, po której stronie był właściwie Rzym i stolica papieska: z zabójcą-królem czy

z zabitym biskupem. Pierwsza niezależność od razu zyskuje uznanie, druga z początku gotuje rozczarowanie, przywykło się bowiem żądać od poezyi odpowiedzi na pytania, poruszone lecz ostatecznie nie rozstrzygnięte przez historyografię. Wyspiańskiego ta szczegółowa sprawa nic nie obchodzi. z tragicznego epizodu historycznego wydobywa on tkwiącą w nim żywiołowość, potęguje ją twórczą siłą aż do ostatecznych granic obustronnie, by w końcu dać tragiczne zwycięstwo tej sile, która materyalnie ulega, w myśl swej zasadniczej idei o wszechmocy śmierci. Czytając bowiem te utwory, doznaje się wrażenia, że idea ich byłaby wprost przeciwną, gdyby kroniki były zapisały nie zabójstwo biskupa przez króla, lecz odwrotnie. Skutkiem tego wrażenia katastrofa, w dramatach szczególnie, mimo całej swej potęgi, widzowi chwilowo się narzucającej, pod skalpelem chłodnej analizy wydaje się przypadkową, efektowną ale nie przekonywującą.

Najmniej odczuwa się to w rapsodzie, gdzie wskutek przewagi malarskiego i opisowego stylu idea utworu w oderwaniu od następnych dramatów stosunkowo słabo się zaznacza. Z poematu pozostają bowiem w pamięci i wyobraźni czytelnika ostatecznie dwa tylko momenty: scena przeklinania króla przez biskupa — jedna z najświeiniejszych, jakie stworzył, a raczej odtworzył poeta, bo wszak jej groza leży już w jej materyalnej treści i chwila, gdy Bolesław na zwłoki zabitego wypuścić każe chowane w zwierzyńcu orły:

„Kazałem ptaki puścić, by pożarły
a potem siec rózgami i rozgonić;
a tu mnie mówią, — że się lekko wsparły
na trupie, — i że jakby chciały bronić
przystępu; że wszerz skrzydła rozpostarły
strzegąc, by żadnej części nie uronić;
że ich nie śmiano tłuc: — już gniew mnie budzi;
bardziej mi było ptaków wstyd niż ludzi.“

— obraz popsuty i osłabiony wtrąconemi słowami, „a tu mnie mówią“, które osłabiają bezpośredność treści, ideowo mało ważny, bo kto wie, czy orły byłyby tak samo tknęły bądź króla bądź innego człowieka. Również nie można się doczytać jakiejś konkluzyi dalszych strof rapsodu. Król ubezwładniony opuszcza kraj, ale obiecuje, że wróci, nie do Krakowa, tylko do „Gniezdna i Lednicy“: czemu tam, i czy w tem jest tylko wstręt do miejsca popełnionej zbrodni, czy wyższa jakaś myśl, nie wiadomo, bo

wiersze są tutaj tylko kropkowane... Ostatnie słowo rapsodu pojednawcze: Król będzie

„wieczność całą zawieszon z mieczem gotowym do cięcia“,
„aż cię powoła róg do wniebowzięcia:
na Sąd twój biskup dla cię zmógł cmentarze
Jemuż Sąd Boga przeżegnać cię każe!

Przedtem jest kilka zwrotek bardzo pięknych i silnych: błąkanie się króla po tatrzańskich turniach, gdzie śpią rycerze Chrobrego, szczególnie zaś wzruszający jest opis wizyi śmierci syna Mieczysława, przez brata otrutego; ballada o tej zbrodni, na krakowskim zamku podczas weselnych godów popełnionej, trzymana w czystym ludowym tonie jest jednym z najpiękniejszych wierszy Wyspiańskiego.

Dr. Józef Flach.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie.

(Ciąg dalszy).

Szkoła stała się w Paryżu popularną, zaczęto jej nawet używać do reklamy. Na sesyi dn. 12. maja 1847 roku musiała Rada szkoły nakazać perukarzowi paryskiemu Leonowi usunąć z szyldu swego napis reklamowy: Perruquier de l'Ecole polonaise.

Najlepiej uwydatni się rozrost szkoły w cyfrach:

R. 1842/3	było uczn.	18,	a utrzymanie	szkoły	kosztow.	33.432	fr.
„ 1843/4	„	35,	„	„	„	36.433	„
„ 1844/5	„	65,	„	„	„	54.713	„
„ 1845/6	„	105,	„	„	„	73.289	„
„ 1846/7	„	140,	„	„	„	99.203	„
„ 1847/8	„	170.	„	„	„	81.836	„

W dn. 1. października r. 1847 objął po Malinowskim dyrekcye Hipolit Klimaszewski, dawny profesor gimnazyum wileńskiego, a zatem ukwalifikowany pedagog. Klimaszewski odegrał ważną rolę w ruchu umysłowym młodzieży wileńskiej przed r. 1830. Autor wielu pism ulotnych, wielu poezyi i popularnych piosenek, śpiewanych szeroko po kraju, należał do oso-

bistości swego czasu bardzo ciekawych. J. I. Kraszewski skreślił swego czasu żywot jego i zachęcił go pod koniec życia do spisywania pamiętników swoich.

„Jest to podług mnie — pisze Kraszewski — postać godna uwagi psychologa“. Ojczyznę kochał z zaślepieniem na jej błędy. „Życie jego intelektualne skamieniało od chwili, gdy opuścił Polskę“. „Wyborny filolog, obdarzony poczuciem poetycznem, pisarz poprawny i dbały o czystość stylu, zaniedbał rzadkie te przymioty i nie posunął się ani o krok dalej“. „Miłość ojczyzny takiej, jaką znał i jaką uniósł ze sobą, unicestwiała wszystko inne“. „W swoim bólu wygnańca otaczał wszystko, co się tyczyło Polski, promieniami idealnie czystymi“. „Na wychodźtwie bólem skamieniał“.

Dla dzieci, zrodzonych na wychodźtwie, kierownik taki, jak Klimaszewski, stawał się jakąś opatrznościową postacią, zesłaną im przez los na to, żeby ich ratować z niewoli cudzoziemskiego ducha. „Ten skamieniały bólem“ Litwin nie pozwalał dzieciom ani na chwilę zapominać o klęskach ojczyzny, o pięknościach dalekiej ziemi obiecanej, do której wrócić mają, i o ciężkich obowiązkach, jakie każde z nich czekają. Serca wszystkich chłopców zapaliły się świętym ogniem i płonęły coraz silniej“.

Z jego wstąpieniem do szkoły nastała prawdziwie owocna nauka polska. Szkoła stanęła na stopie rzeczywistej instytucyi narodowej, uczniowie ubóstwiali dyrektora.

Przybywszy do Francyi, zamieszkał w Wersalu, gdzie zakładał bibliotekę, aby ją przewieść potem do kraju. Zostawszy dyrektorem szkoły batyniolskiej, zabrał ze sobą cały księgozbiór, liczący już 5.000 dzieł. W młodzieży rozbudził zapał do czytania książek. „Po dwanaście godzin co tydzień wykładał w szkole bez żadnego za to wynagrodzenia język i literaturę polską“. W młode umysły wpajał zasadę, że na zdobycie karyery zawsze będą mieli dość czasu, jeżeli zaś nie wyuczą się języka polskiego w młodzieńczych latach, jeżeli za młodu nie rozgorzeją wielką miłością do tej dalekiej i nieznanej im wcale ojczyzny, nigdy już potem dobrymi Polakami stać się nie będą mogli.

W pierwszym roku dyrekcyi Klimaszewskiego doznała szkoła niemałego wstrząśnienia. Rewolucye z r. 1848 odbiły się w niej głośnem echem. Kilku funkcyonaryuszów Towarzystwa i szkoły oraz 10 starszych uczniów wyruszyło do Polski na plac walki. W klasie czwartej pozostało tylko sześciu uczniów, których posyłano odtąd do liceum Bonapartego na naukę matematyki, łaciny,

francuskiego i historyi powszechnej, ucząc ich w samej szkole tylko języka polskiego, historyi polskiej, rysunków i religii.

Ale i pozostali, uczniowie i profesorowie, popadli w rodzaj febry patryotycznej i republikańskiej, która normalnemu tokowi studyów widocznie nie sprzyjała.

Dnia 28. lutego wzięła szkoła polska udział w manifestacyjnym pogrzebie ofiar rewolucyi. Uczniowie polscy w uniformach polskich i z chorągwiami narodowemi polskiemi kroczyli na czele pochodu z okrzykami: „Vive la Pologne!“ Po pogrzebie odprowadziły tłumy polską młodzież aż do samej szkoły na Batignolles, śpiewając Warszawiankę Kazimierza Delavigne'a („Il est levé; voici ce jour sanglant etc.“). Szkoła polska interesowała się żywo i innymi wypadkami, zapominając o właściwych swoich celach. Braków, spowodowanych w nauce tymi wypadkami, nie można było wyrównać przez dłuższy czas. Jeszcze przy końcu roku szkolnego 1850/1 stwierdzono z ubolewaniem w klasach średnich i wyższych mierne postępy w naukach, a wyśmienite tylko w elementarnych, któremi kierował energicznie znany nam już Stanisław Malinowski. W uznaniu tych zasług zamianowano Malinowskiego z początkiem r. szk. 1851/2 prefektem studyów, przydzielając go do pomocy dyrektorowi Klimaszewskiemu. Z r. 1848 kończy się drugi okres dziejów szkoły batyniolskiej (1844—1848).

3. Rok 1848 był w dziejach szkoły batyniolskiej chwilą krytyczną, i trzeba było dołożyć niemałych starań, aby spoić na nowo, co się na dobre zaczęło rozprzęgać. W protokołach Rady Towarzystwa zapisano w r. 1848 jako pewnik, iż zbliża się chwila bliskiego powrotu do oswobodzonej ojczyzny. Nadzieja była złudną, ale niemniej psuła porządek w szkole. Najpoważniejsi ludzie ulegli temu zwodniczemu marzeniu.

Z Rady, kierującej losami szkoły, pozostali tylko ci członkowie, którym wiek podeszły nie pozwolił wyjechać z Paryża. Pozostał tylko zasłużony jej wiceprezes Alojzy Biernacki oraz były generał polski, Franciszek Sznajde — a obok nich dwaj majorowie Mierzejewski i Roguski. Aby szkołę utrzymać, trzeba było przedewszystkiem skompletować i ożywić Radę. Prezydentem Rady wybrano Biernackiego, który urząd ten piastował aż do roku 1854, w którym umarł. On szkołę w najtrudniejszych dla niej warunkach utrzymał, nie zrażając się największemi trudnościami.

Rada sama odświeżyła się dopiero po nowym przypływie emigrantów, po upadku powstania w Poznańskiem, w Krakowie i po wojnie węgierskiej.

W miejsce zmarłego generała Sznajdego wstąpił do Rady w r. 1850 Ksawery Godebski. który w dziejach szkoły batyniolskiej odegrał także ważną rolę.

Godebski był prawą ręką jej prezydenta. Biernackiego: on dokonał rewizyi programu naukowego. przeprowadzał go z całą troskliwością, prezydował na egzaminach i sam uczył nieco później historyi i literatury polskiej z doskonałym skutkiem.

W tym czasie nawiązał stosunki ze szkołą Adam Mickiewicz. Pomiędzy eksternistami szkoły w r. 1850/1 byli trzej synowie wieszcza: Władysław, Aleksander i Jan. W r. 1853 powołany do Rady brał Mickiewicz w jej pracach czynny udział. Na wniosek poety powzięła Rada uchwałę, aby w przyszłości każdy uczeń, opuszczając szkołę, a raczej jego rodzice lub opiekunowie, którzy nie pokryli kosztów utrzymania syna w szkole lub zalegali z zapłatą, podpisywali honorowe zobowiązania. że uiszczą dług, winny zakładowi.

W maju tegoż roku przeprowadził Mickiewicz w Radzie bardzo znamienną uchwałę. Aby w duszach dzieci polskich, urodzonych na wygnaniu, zaszczepić od samej młodości kult ludzi zasłużonych około dobra ojczyzny, zalecił wieszcz nasz poprowadzić uczniów, odznaczających się wytrwałą pracą i wzorowymi obyczajami. na mające się odprawić nabożeństwo żałobne za dusze senatora kasztelana Niemcewicza, generała Kniaziewicza i wszystkich Polaków, zmarłych na wygnaniu.

Aby króla poezyi polskiej uczcić, wybrała go Rada już w kwietniu r. 1853 wiceprezydentem Rady, w miejsce Ksawerego Godebskiego, który z tej godności ustąpił dobrowolnie.

Gdy po śmierci Alojzego Biernackiego cała Rada chciała poetę obrać jednomyślnie prezydentem swoim. uchylił się od tego zaszczytu, tłumacząc się licznemi osobistemi zajęciami oraz obowiązkami. które na nim ciążyły jako na urzędniku biblioteki arsenalskiej. Rada uznała podane przez wieszcza powody za słuszne.

Mickiewicz brał nadal żywy udział w pracach Rady, jako wiceprezydent aż do wyjazdu do Konstantynopola.

Gdy nadeszła smutna wiadomość o śmierci wieszcza, uchwaliła Rada złożyć hołd jego zwłokom po ich nadejściu do Paryża, i wziąć udział razem z młodzieżą szkoły i jej profesorami w nabożeństwie żałobnem, a uczniowie szkoły mieli nosić przez czas pewien żałobę.

Mickiewicz, uchylając się osobiście od prezydentury, polecił na nią, jednego z najbardziej zasłużonych członków Rady, d-ra Seweryna Gałęzowskiego.

Gałęzowski, profesor Uniwersytetu wileńskiego, wziął udział jako naczelny chirurg w powstaniu listopadowem, następnie jako emigrant, wyjechał do Meksyku, gdzie dzięki wybitnym zdolnościom i wiedzy dorobił się znacznej fortuny.

Wróciwszy ztamtąd do Paryża, stał się od razu prawdziwym protektorem szkoły polskiej, jakim był do niedawna Ledóchowski: do Rady szkolnej wybrano go w lutym r. 1852. Odtąd nie puszczał z opieki szkoły aż do zgonu, świadcząc jej prawdziwie szczodre dobrodziejstwa.

Już w marcu r. 1852 zobowiązał się opłacać sekretarza, któryby jednocześnie pełnił obowiązki archiwisty i bibliotekarza Rady.

Dzięki ofiarności i zabiegom d-ra Gałęzowskiego i poparciu kilku jego przyjaciół i bogatych rodaków nabyła szkoła realność na Batignolles, za którą zapłaciła 200.000 fr. i mogła przez dobudowanie nowego piętra pomieścić o pięćdziesiąt uczniów więcej.

W r. 1852 mógł prezydent Biernacki słusznie wyznać publicznie, że usiłowania d-ra Seweryna Gałęzowskiego zostały już uwieńczone pomyślnymi skutkami, że czyny jego zapisały się głęboko w sercach Polaków, którym droga jest przyszłość narodu, a złotemi literami w aktach szkoły.

Adam Mickiewicz, polecając kandydaturę Gałęzowskiego na prezydenta Rady, mówił szczerze, że ten kandydat może najlepiej zagwarantować rozwój i przyszłość zakładu.

Wybrany prezydentem dn. 12. listopada 1854 roku, nie zawiódł Gałęzowski pokładanych w nim nadziei. A tę trudną i odpowiedzialną godność piastował bardzo długo, bo aż do roku 1878, w którym umarł.

Szkoła liczyła w r. szk. 1856/7 internistów 210. Większej liczby już pomieścić nie mogła. Dr. Gałęzowski, zachęcony powodzeniem dotychczasowych swoich usiłowań, dokupił w r. 1859 niezabudowany obok szkoły grunt za sumę 230.000 fr. Część potrzebnych na to funduszów zgromadził za pomocą ofiar i składek oraz za pomocą akcyi po 2.000 fr., wypuszczonych pośród zamożniejszych, resztę dopełnił pożyczką.

Po tem rozszerzeniu szkoła miała dwanaście sal wykładowych, refektarz, infirmeryę, osobne dziedzińce do zabawy dla

uczniów starszych i młodszych i mogła przyjąć na mieszkanie o 50 uczniów więcej.

Prócz tego dzięki staraniom Gałęzowskiego przyszła szkoła w posiadanie dobrze urządzonego laboratoryum chemicznego z gabinetem chemicznym i fizycznym oraz przyrządów do ćwiczeń gimnastycznych.

Dzięki zabiegom Gałęzowskiego szkoła batyniolska miała w dwudziestuleciu przed wojną francusko-pruską najpiękniejszy okres rozwoju i rozkwitu.

O innych członkach Rady przed r. 1870 wspomnę krótko.

Rozległe obowiązki sekretarza Rady pełnił począwszy od r. 1852 z przerwą w czasie wojny krymskiej przez długie lata Ildefons Kissiłowski. Oddał on szkole znaczne usługi, zwłaszcza po wojnie francusko-pruskiej.

Równocześnie z Adamem Mickiewiczem powołano na czynnego członka Rady poetę Józefa Bohdana Zaleskiego. Żywszy udział w pracach Rady Zaleski zaczął brać po wyjeździe Mickiewicza do Konstantynopola. W imieniu Rady wygłosił znaną mowę dn. 21. stycznia 1856 przy chowaniu zwłok Adama Mickiewicza na cmentarzu paryskim Montmorency. Zaleski przemawiał prócz tego przy dorocznych egzaminach w szkole, brał udział przy organizowaniu nauki języka polskiego. W r. 1862 złożył imieniem Stowarzyszenia Czci i Chleba, którego był głównym założycielem, 1.000 franków do kasy szkoły na cele edukacyi najbardziej potrzebujących sierót emigrantów polskich. Członkiem Rady pozostał aż do końca życia, ale w ostatnich latach nie mógł już brać czynnego w jej pracach udziału.

Pracował w Radzie jako jej członek przez pewien czas także i Julian Klaczko.

Już w r. 1852 rekomendował go dr. Seweryn Gałęzowski na profesora szkoły, pragnąc do niej wprowadzić nowe, świeże siły. I rzeczywiście dał ten znany krytyk w r. szkolnym 1858/9 w wyższych klasach kurs literatury. Wykłady te były według żywej jeszcze tradycyi za szczegółowe i więcej poetyczne aniżeli praktyczne, obudziły jednak w duszy uczniów żywszy interes dla poetów nowszej szkoły a zwłaszcza Zygmunta Krasińskiego, który właśnie w owym czasie umarł.

Do Rady szkolnej wszedł Klaczko razem z Feliksem Wrotnowskim w grudniu r. 1860. Kilkakrotnie przemawiał w imieniu Rady przy rozdawaniu nagród po egzaminach końcowych. W mowie z r. 1865 sławił system wychowania, który nie próbuje uspić

młodego pokolenia illuzyami efemerycznemi i karygodnemi, lecz owszem ją uprzedza, że droga życia uczciwego jest pełna kołców, że cnota nie zawsze wieńczy się szczęściem, że zło nie zawsze doczeka się na tym świecie kary... że ten, co tu miał serce, czuwał i kochał, zbiera często jako nagrodę knut i Sybir".

Klaczko dodał, że opustoszenie otacza nas, że widnokrąg zasępił się ze wszystkich stron, że wzrok może spocząć tylko na śniegu Syberyi lub na ponurych równinach zasianych szubienicami i rusztowaniami egzekucyjnemi.

Klaczko ustąpił z Rady w r. 1869, wyjeżdżając z Francyi.

Dalej wstąpili do Rady szkolnej przed r. 1870: redaktor dziennika katolicko-demokratycznego p. t. „Demokracya XIX. wieku" Józef Ordęga (od 1852), Teofil Januszewicz, jako skarbnik (1854—1870, umarł 1876), Stanisław Poniński, Ludwik Wołowski (obaj od 1854 r.), Karol Sienkiewicz, autor Skarbca historyi polskiej i poeta, znany pod pseudonimem Karola z Kalinówki (od r. 1857), Eustachy Januszkiewicz (od 1860), Władysław Ordęga (od 1860), Artur Sienkiewicz (od 1866), Aleksander Chodźko, profesor literatury słowiańskiej w kolegium francuskiem (1866—1891), Karol Edmund Chojecki i Franciszek Duchiński (obaj od roku 1869).

Prócz czynnych wchodzili w skład Rady członkowie honorowi, osoby w szczególny sposób zasłużone około dobra szkoły. Takimi byli n. p. hr. Ksawery Branicki. hr. Arnold Skórzewski, generał Gawroński, Ksawery Godebski, Feliks Wrotnowski, Adam Sienkiewicz, Bronisław Zaleski i inni.

Społeczeństwo nie szczędziło szkole poparcia. Niektóre ofiary dochodziły do poważnej wysokości.

Jenerał Tadeusz Tyszkiewicz przekazał jej znaczny legat. Hr. Justyn Ostrowski zapisał w r. 1863 na rzecz szkoły około 10.000 franków.

Ofiarność na rzecz szkoły zmniejszyła się bardzo po roku 1863. Dzielnica rossyjska, zrujnowana doszczętnie, przestała popierać szkołę, której pomagała dotąd skutecznie acz potajemnie przez lat dziesięć.

Najwydatniejszą była do roku 1870 pomoc rządu francuskiego i subskrypcye, zebrane w Poznańskiem i w Galicyi przez prezydenta Rady Gałęzowskiego w czasie jego dwukrotnej podróży z r. 1868 i 1869.

Rząd francuski cofnął subwencyę raz tylko, w r. 1851, a to wskutek nikczemnych denuncyacyi w prefekturze, skierowanych

przeciw członkom Rady przez jednego z emigrantów polskich, a dopiero dzięki zabiegom hr. Ksawerego Branickiego, a zresztą i z powodu zmiany rządu przywrócił ją w dawnej, a następnie powiększonej wysokości.

W r. 1853 książę Napoleon Bonaparte przyjął protektorat nad szkołą i otaczał ją moralną opieką aż do roku 1870. Od roku 1857 wyznaczył trzy medale, złoty, srebrny i bronzowy, dla laureatów Polaków w liceum i w Sorbonie i kazał się stale reprezentować przez swego adjutanta generalnego w czasie uroczystego aktu rozdawania nagród, któremu przewodniczył wysoki funkcyonaryusz Uniwersytetu, delegowany przez ministra oświaty.

Dzięki wpływom protektora, a głównie dzięki rzeczywistemu stanowi rzeczy, rząd francuski uznał dekretem z dn. 8. kwietnia 1865 r. szkołę batyniolską za instytucyę użyteczności publicznej. Jednocześnie zatwierdzono statuta szkoły, które odtąd nie mogły być zmienione bez upoważnienia rządu. Majątek szkoły, obliczony przy tej sposobności, wynosił około 3.000.000 fr.

Statut pozwala nam wniknąć głębiej w organizm szkoły.

Administracya szkoły spoczęła i nadal w rękach Rady, złożonej z 12 członków, która wybierała z pośród siebie prezydenta, wiceprezydenta, skarbnika i sekretarza. Radcy nie pobierali żadnego wynagrodzenia. Na wakujące miejsca powoływała Rada nowych członków, mogła też mianować członków honorowych z pomiędzy Polaków i cudzoziemców, którym stanowisko dawało możność popierania interesów szkoły.

Rada reprezentowała szkołę; w sprawach prawnych przedstawiał szkołę i Radę tylko sam prezydent.

Do Rady należało kierownictwo pod względem moralnym, intellektualnym i materyalnym; ona orzekała o wydatkach i o wszelkich działaniach w kierunku utrzymania szkoły oraz jej wewnętrznego rozwoju. W tym celu podzieliła się Rada na dwie komisye: administracyjną i edukacyjną.

Majątek szkoły składał się w r. 1865 z gruntu i gmachu oraz z urządzenia szkoły i biblioteki przy bulwarze des Batignolles, a dochody płynęły z walorów, będących własnością szkoły, z ewentualnych opłat pensyjnych uczniów, z sum, płynących z ofiar, went i dobroczynnych uroczystości, organizowanych na rzecz szkoły, oraz z legatów i ewentualnie przyznawanych jej subwencyi.

Regulamin wewnętrzny i program naukowy zastosował się do przepisów powszechnych, obowiązujących w liceach Cesarstwa.

Prócz przedmiotów wspólnych uczono w szkole i nadal przedmiotów polskich.

Prócz tego zorganizowano naukę zawodową dla chłopców pragnących się poświęcić przemysłowi lub handlowi.

Rada wybierała i mianowała dyrektora, profesorów, ochmistrzów i innych funkcyonaryuszy szkoły. Do dyrektora należało bezpośrednie kierowanie naukami i zarządzanie wewnętrzne szkołą.

Oprócz tego miała Rada własnych inspektorów i egzaminatorów płatnych lub honorowych, czuwających nad wykładami profesorów i postępem uczniów.

Szkoła polska poddała się inspekcyi rządu francuskiego, jak wszystkie publiczne zakłady, a Rada szkolna zobowiązała się posyłać na końcu każdego roku ministrowi oświaty publicznej sprawozdania o postępie nauk i dyscyplinie wewnętrznej szkoły.

W razie rozwiązania zakładu Rada miała rozporządzić jego majątkiem.

Uznanie szkoły polskiej za instytucyę użytku publicznego, było nie tylko aktem szczególnych względów rządów cesarskich względem wychodźców polskich, lecz zarazem stwierdzeniem istotnego stanu rzeczy. Szkoła polska na Batignolles'ach była naprawdę zakładem bardzo pożytecznym.

O użyteczności zakładu i o jego rozwoju w ciągu dwudziestolecia przed r. 1870 świadczy najlepiej rosnąca z roku na rok frekwencya oraz liczba zdobywanych przez uczniów nagród, bądź to w samej szkole, bądź też w zakładach publicznych, do których młodzież polska starsza uczęszczała. Nagrody uważane są dotąd w systemie wychowania francuskiego za ważny czynnik wychowawczy.

Pod koniec roku szkolnego 1853/4 liczył zakład 250 uczniów; z tych było 180 internistów a 70 eksternistów. W tym roku po raz pierwszy dopuszczono Polaków do powszechnego konkursu w Sorbonie, w którym dwóch odniosło zwycięstwo. W anałach zapisano, że była z tego powodu ogromna radość w całej emigracyi polskiej.

Przy zamknięciu studyów roku 1860 mówił reprezentant rządu o szkole batyniolskiej z niekłamanem uznaniem, powiedział, że szkoła polska nie tylko przez sukcesy, uzyskane w konkursach, lecz także przez swoją organizacyę wewnętrzną, przez karność, przez ducha wybornego, który przenika wszystkie jej prace, stanęła w rzędzie najlepszych zakładów publicznych Francyi.

Zakład liczył w tym roku szkolnym 280 uczniów. Diwizya wyższa składała się z 35 uczniów, uczęszczających do cesarskiego liceum im. Bonapartego, w którem zdobyli 71 wyszczególnień a między niemi 14 nagród. Na konkursie generalnym w Sorbonie żniwo było jeszcze obfitsze, a mianowicie uzyskano tam 6 wyszczególnień, a między niemi 1 nagrodę.

W roku szkolnym 1860/1 liczył zakład 301, w roku 1861/2 304, a w r. 1862/3 mimo ubytku spowodowanego powstaniem styczniowem 301 uczniów.

W roku 1865/6 było w szkole 307 uczniów, a dotąd przeszło przez zakład od chwili jego założenia 856 młodzieży, których znaczna część chodziła na kursa w liceum Bonapartego. W tym czasie uczniowie szkoły polskiej zdobyli 216 nagród i 753 akcesytów (accessits): 90 zdało egzamin bakalareacki. Więcej aniżeli 50 zajmowało już wtedy stopnie w wojsku francuskiem.

Z końcem roku szkolnego 1867/8 osiągnął zakład najwyższą frekwencyę, liczył 309 uczniów. Odtąd frekwencya powoli spadała na 297 w r. 1868/9, a na 276 w r. 1869/70.

Utrzymanie tak licznego a zatem tak kosztownego zakładu, było walną zasługą wychodźctwa. Trzeba było niezwykłej energii, aby zebrać na ten cel potrzebne sumy.

O kosztach utrzymania dają nam dokładne pojęcie budżety wydatków. W roku szkolnym 1852/3 zakład liczył 200 uczniów, a na utrzymanie jego preliminowała Rada 92.500 franków, a mianowicie na utrzymanie 170 internistów, licząc na każdego po 600 franków, razem 85.000 franków, a na utrzymanie 30 eksternistów, licząc na każdego po 250 franków, razem 7.500 franków.

Wewnętrzny rozkwit i rozwój zawdzięczał zakład głównie dyrektorowi swemu Stanisławowi Malinowskiemu.

Do końca r. 1852/3 kierował szkołą jeszcze H. Klimaszewski z pomocą Stanisława Malinowskiego, jako prefekta studyów. Wpływ Malinowskiego rósł, a stanowisko Klimaszewskiego stawało się coraz bardziej chwiejne, a to z powodu cichej opozycyi przeciw nowemu członkowi Rady, doktorowi Sewerynowi Gałęzowskiemu.

Publicysta J. B. Ostrowski, nie poprzestając na intrygach w prefekturze policyi, gdzie się cieszył pewnym zaufaniem, jako tłumacz przysięgły, wciągnął w wir walki podjazdowej i dyrektora Hipolita Klimaszewskiego.

Ogłoszono pamflety na Radę szkoły, które ją pozbawiły subwencyi rządowej, i rozdano je pomiędzy uczniów szkoły, aby ich

zbuntować. Dyrektor temu nie przeszkodził. Równocześnie stanął dyrektor w opozycyi do całego szeregu zarządzeń Rady, a w szczególności odmawiał jej prawa powoływania profesorów, których ona uważała za odpowiednich.

Rada mogła mu też zrobić zarzut, że dostarczył Ostrowskiemu różnych szczegółów z posiedzenia Rady.

Klimaszewski już po usunięciu z dyrektury napisał ostrą protestacyę. Zaprzeczył, jakoby go łączyła przyjaźń z Ostrowskim i jakoby był jego informatorem. Przy tej sposobności zjadliwie uderzył na Radę i poszczególnych jej członków. Z Mickiewicza, który w Radzie dymisyę jego zaproponował, natrząsał się, iż pomścił się na nim za artykuł, wymierzony przeciw jego towianizmowi.

Bohdana Zaleskiego nazwał faryzeuszem, który głosi piękne zasady a działa podstępnie.

Doktorowi Antoniemu Hłuśniewiczowi wypominał w sposób wstrętny oddane mu niegdyś przysługi koleżeńskie.

Zasłużonemu protektorowi szkoły, doktorowi Gałęzowskiemu, który nalegał na dymisyę Klimaszewskiego z powodu jego nieudolności jako profesora i nieczynności jako dyrektora, podniósł autor Protestacyi cały szereg nieuzasadnionych zarzutów. Potępiał go, że chciał wykład historyi polskiej powierzyć Julianowi Klaczce, brał mu za złe, że chciał nad szkołą umieścić napis „Szkoła polska“ z opuszczeniem narodowa. Wszystkim zabiegom Gałęzowskiego o utrwalenie bytu i podniesienie poziomu naukowego szkoły podsuwał niskie, egoistyczne zamiary, przyczem kalał imię jego z przeszłości. Gałęzowski nie szczędził ofiar osobistych na szkołę, Klimaszewski wołał, że zrobił ze szkoły dojną krówkę dla siebie.

Klimaszewski nie darował żadnemu zgoła członkowi Rady; znalazł zarzuty nawet przeciw najcichszemu z Rady, Biernackiemu.

Miejsce usuniętego Klimaszewskiego zajął wspomniany już Stanisław Malinowski.

W przemówieniu wstępnem nowy dyrektor zaznaczył pokrótce powody, które głównie jego poprzednika obaliły. Powiedział, że rodzice, którzy sami kierują edukacyą dzieci swoich, mają prawo absolutne wybierania nauczycieli i zmieniania ich według własnego widzimisię. Przy nauczaniu zbiorowem w szkole przysługuje takież samo prawo Radzie administracyjnej, owszem ciąży na niej obowiązek dobierania takich nauczycieli, aby cel wytknięty osiągnąć jak najkrótszą i najlepszą drogą.

Malinowski przyjmował urząd dyrektora z niemałym lękiem. Głośno oświadczył, że brak mu pogłębionego wykształcenia naukowego i pedagogicznego, że nawet brak mu zewnętrznej postawy. Rada była innego zdania, wiedziała przedewszystkiem z doświadczenia, że nowy dyrektor potrafi utrzymać szkołę w karbach karności i tchnąć w uczniów ducha patryotyzmu polskiego. Malinowski widział w szkole cel swego życia. Dobrowolnie zrzekł się większej pensyi, aby ulżyć kasie szkoły.

Aby wzbogacić dotychczasowe swoje doświadczenia pedagogiczne, zwiedził już jako dyrektor rozmaite zakłady francuskie publiczne stolicy i przeprowadził na podstawie zebranych spostrzeżeń rozmaite reformy w zakładzie swoim.

Z początku miał do walczenia z rozmaitemi trudnościami, z manifestacyami uczniów, z opozycyą personalu szkoły, sympatyzującymi z dawnym dyrektorem. Te wszystkie trudności pokonał z taktem i energią.

Malinowski był stworzony na kierownika zakładu takiego, jakim była szkoła polska na obczyźnie. Pochwały, których swego czasu inspektor Akademii francuskiej p. Filon szkole nie szczędził, odnosiły się przedewszystkiem do dyrektora szkoły: p. Filon stawił organizacyę wewnętrzną, karność i wybornego ducha szkoły.

Malinowski doprowadził szkołę do rozkwitu przed r. 1870 i kierował nią długo po wojnie francusko-pruskiej, która ją bardzo zrujnowała.

Kierownictwo zakładu nie było sprawą łatwą, zwłaszcza, że zakład połączony był z licznym internatem.

Grono nauczycielskie było bardzo liczne.

Już w r. 1857/8 składało się z dyrektora, prefekta, dwóch kapelanów, lekarza, sekretarza i z 15 profesorów, zamieszkałych w szkole (9 Polaków, 6 Francuzów), oraz 9 przychodnich (3 Polaków, 6 Francuzów). Osób służby i administracyi liczył zakład 23, wogóle 53 osoby (23 Polaków a 30 Francuzów).

Trudne było zadanie utrzymać harmonię w tem tak licznem gronie nauczycielskiem i rozmaitymi funkcyonaryuszami szkoły. Prócz licznych profesorów, uczących w szkole średniej, zbifurkowanej w wyższych klasach na szkołę gimnazyalną i techniczną, należeli do grona nauczyciele oddziałów szkoły elementarnej, należało trzech dozorców młodzieży, między nimi generalny, należeli korepetytorzy.

Grono nauczycielskie tak liczne nie przedstawiało nigdy jednolicie i ściśle spojonego ciała. Nie mogąc mieć stałych własnych sił, Rada musiała je brać, zkąd mogła.

Łatwiej było o profesorów dla przedmiotów niepolskich, bo ich był w Paryżu wielki zapas w zakładach publicznych. Ale profesorowie ci mogli wykładać tylko w języku francuskim.

Przedmioty polskie musieli brać tylko Polacy, i tu był brak sił należycie ukwalifikowanych. Brano osobistości nieraz znane w literaturze i w życiu publicznem polskiem zasłużone, ale nie mające niekiedy pojęcia o szkole i pedagogii oraz o jej zadaniach. W dodatku były to osobistości przychodzące i odchodzące.

Grono nauczycielskie szkoły polskiej w Paryżu z tego okresu robi wrażenie płynącej ciągle fali. Przed rokiem 1870 rzadko który profesor uczył przez czas dłuższy w szkole. Te ciągłe i nie zawsze szczęśliwe zmiany psuły normalny tok nauki i ciągłość wychowania, a dyrektorowi przysparzały nieraz bardzo wiele kłopotu. Dyrektor Malinowski umiał sobie dać jakoś radę z tą pstrą i różnorodną masą pedagogów.

Przytem przeprowadzano w szkole w ciągu tego dwudziestolecia dość częste reformy, których wykonania musiał dyrektor dopilnować z urzędu, a prócz tego w ich obmyślaniu brać czynny udział.

Zakład składał się pierwotnie z szkoły elementarnej, podzielonej od r. 1852 na dwa oddziały i z liceum czyli gimnazyum klasycznego o siedmiu oddziałach.

Plan naukowy gimnazyalny obejmował jako przedmioty: religię, język i literaturę oraz historyę i geografię polską, łacinę i grekę, języki francuski, angielski i niemiecki, matematykę, fizykę, chemię, nauki przyrodnicze, rysunki, gimnastykę i śpiew.

W roku szkolnym 1852/3 przeprowadzono radykalne reformy. Do opracowania tych reform wydelegowała Rada osobną komisyę, złożoną z dyrektora Klimaszewskiego, prefekta studyów Malinowskiego, wychowańca szkół francuskich Władysława Ordęgi oraz Juliana Klaczki. Komisyi przewodniczył Ksawery Godebski.

Reformy te pozostawały w ścisłym związku z ówczesnemi reformami szkolnemi francuskiemi.

Licea francuskie doznały dekretem z dn. 10. kwietnia i rozporządzeniem z dnia 30. sierpnia 1852 roku znacznego przeistoczenia.

Liceami zowią się zakłady utrzymywane przez rząd dla odróżnienia od kolegiów, utrzymywanych przez miasto.

Licea były połączone z pensyonatami. Liceum każde dzieliło się na trzy oddziały: Początkowy, złożony z uczniów klasy wstępnej czyli 9, oraz 8 i 7 w wieku od 7—12, gramatykalny (klasa 6, 5 i 4, wiek 12—15) i wyższy (klasa 3, 2 oraz klasa retoryki i klasa logiki, wiek 15—21).

Oddział wyższy rozszczepiał się w dwu kierunkach: literackim i umiejętnościowym. Wstępujący na oddział wyższy uczniowie musieli wybrać jeden z dwu kierunków. Niektóre przedmioty były wspólne, niektóre oddzielne dla każdego kursu. Uczniowie kursu literackiego zdawali, by wstąpić do szkół najwyższych, egzamin na stopień bakałarza literackiego (bachalier ès-lettres), a uczniowie kursu umiejętności na stopień bakałarza umiejętności (bachalier ès-sciences).

Antoni Karbowiak.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wycieczka do Parany

(stanu rzeczypospolitej Brazylii).

Dziennik podróży.

(Ciąg dalszy).

9. września. — Zajścia i sceny.

W dniu tym burzliwość morza mogłem porównać z gwałtownością usposobienia południowo-włoskiego. Okręt przechylał się na wsze strony. Co chwila ktoś się przewracał przy śmiechu towarzyszy. „A to się nakrył nogami i zupą!“ — krzyknęła jakaś poważna nasza matrona. widząc chłopaka neapolitańskiego przewracającego się i parzącego zupą wrzącą, którą niósł dla 10-ciu swych towarzyszy stołu.

Byłem w tym dniu świadkiem wypadku dla mnie bardzo niezwykłego. Młoda i niezwykle przystojna Neapolitanka głośno zaczęła się skarżyć i rękoma wymachiwać na jakiegoś otyłego rodaka, zanosząc się od płaczu; lewą rękę przykładała do ucha, powołując się na mnie, jako na świadka. Lekarz, który ją badał ze współczuciem, nieco dla mnie podejrzanem, zapytał mnie po francusku. czy co widziałem. Odparłem, że nic zgoła takiego nie dostrzegłem, coby mogło spowodować płacz tej ładnej dziewczyny. „Grubas ten, niezbyt szpetny, jak pan widzisz, poprostu ją pocało-

wał; jabym to samo uczynił chętnie — dodałem żartobliwie — lecz ona musi być chora, bo żadna zdrowa niewiasta nie płacze przecie, gdy się ją pocałuje". Lekarz pokazał mi wtedy ślady pocałunku, podobnego do ukąszenia psa... ujrzałem wyraźnie na naderwanem uchu krew i ślad zębów. „Nie domyślasz się pan zapewne, rzekł doktor, że to jej rodzony ojciec. Tacy to są nasi Neapolitańczycy!"

Inna scena. Tłum na pokładzie. Kapitan z wysokości swego obserwatoryum gwałtownie przemawia. W środku tłumu Neapolitańczyk stoi hardo i nieruchomie jak słup. W kącie jeden z naszych wychodźców szybko oddycha, jakby zmęczony wielkim wysiłkiem; koło niego płaczą kobiety. Powoli do Neapolitańczyka podchodzi krokiem morskim — używanym przez majtków — ogromny i znany z siły majtek genueńczyk. Podszedł, stanął i wyciąga rękę. Neapolitańczyk sięga do kieszeni i podaje mu niechętnie nóż — majtek odbiera ten instrument i rzuca do morza, potem bierze go pod ramię i prowadzi. Zniknęli. Pytam, co się stało? Nieapolitańczyk rzucił się z nożem na jednego z naszych wychodźców, którego zaledwie obroniono. Sam kapitan dostrzegł to przypadkiem z góry i swym głosem jowiszowym powstrzymał zbrodniarza.

Nie koniec na tem; byłem świadkiem coraz to nowych scen w tym dniu. Kelner zaczął bić zawzięcie jednego z naszych emigrantów. Gdy zaś ich rozbrojono i zjawił się jeden z podkapitanów, zaczął on, jak opętany wrzeszczeć, że nie może znieść pijaków „umbriacos". Istotnie Hryć upił się jak nieboskie stworzenie i został zaraz skazany na postój więzienny u góry na świeżem powietrzu, z ręką zamknięta kluczem w kajdanki przy żelaznej baryerce.

Kara taka wydała mi się średniowiecznem barbarzyństwem. Dowodziłem jej niestosowności kapitanowi, przechadzając się z nim późno w nocy po pokładzie. Ubolewał szczerze nad nią, lecz uważał, że przy niskim stopniu kultury środek ten jest jeszcze humanitarny, bo go się boją a ostatecznie wielkiej krzywdy nie czyni skazanemu. Właśnie w chwili, gdy ośmieliłem się karę tę ganić, przypominając, że może zbyt długo, aż 4 godziny, trzymają tak człowieka, naraz przy najpiękniejszej pogodzie zaczął padać ciepły i drobny deszczyk... Kapitan zaklął gniewnie. Przyleciał siłacz majtek, tłumiąc w kułak śmiech. Więźniów z kajdanków niezwłocznie wypuszczono.

10. września. — Cabo Frio — Góry.

10. września wieczorem mijamy Cabo Frio (przylądek zimny). Widać przy zmroku światło latarni morskiej: jesteśmy blisko stolicy Brazylii. Dopływamy do brzegu Nowego Świata, gdzie podobno bardzo dziko i pięknie układa się panorama gór nadmorskich. Poprzednio już od 3 dni widzimy wprawdzie tę ziemię obiecaną bardzo górzystą; wyniosłość jej jest znaczniejsza niż wybrzeża włoskiego pod Genuą. Lecz niestety w dniach poprzednich odległość a obecnie ciemności nocne, stoją na zawadzie wyraźnemu rozpoznaniu kształtów lądu; z trudnością go można odróżnić od chmur. Mam w każdym razie wrażenie, że jesteśmy w pobliżu jakiegoś majestatycznego ogromu. Późną nocą z 10-go na 11-ty mijamy zatokę Riożaneirowską, zamiast wpłynąć do niej. Potrzebni jesteśmy urzędom celnym i sanitarnym brazylijskim, znajdującym się na wyspach tuż poza zatoką: jedziemy im się pokłonić, a może odsiedzieć kwarantannę 40-dniową.

11. i 12. września. — Ilha Grande — Obawa kwarantanny.

Z rana po wschodzie słońca zawijamy do małej przystani Wyspy Wielkiej. „Ilha Grande". Jest ona istotnie największą z tych, które tworzą mały rozrzucony archipelag w pobliżu stolicy Brazylii. Widok na nią i inne wyspy oraz na sąsiedni górzysty ląd stały jest czarujący. Gra wyobraźni, pobudzona kończącą się podróżą morską, i zaciekawienie dość gorączkowe ujrzenia nowego lądu amerykańskiego, przy niezrównanie pięknej przyrodzie morsko-górskiej, potęgują urok widzianego po raz pierwszy lądu. — Pogoda prześliczna, powietrze przesiąknięte nieco wilgocią, przeźroczyste jak najpiękniejsze tatrzańskie lub alpejskie w przededniu słoty lub nazajutrz burzy. Wszystkie przedmioty wydawały się wyraźne i bardzo bliskie. Tchnienia wiatru ani chmurki żadnej nie było, słońce od samego rana rozlewało dokoła z iście tropikalną hojnością światło i ciepło. Czuć było w powietrzu życiodajną wiosnę; ta pora roku, mimo upału, okazywała swoją obecność bardzo wyraźnem jakby przebudzeniem się przyrody, istną pieśnią chórem śpiewaną przez wszystkie istoty, upojone nowem życiem, pełnem wesela i rozkoszy. Nie rozumem i nauką, lecz wszystkiemi zmysłami czułem wyraźnie, że ustępuje zima, nie

sroga wprawdzie, bo podobna do naszego północno-europejskiego lata, ale zawsze pora chłodniejsza. Oko me spoczywało na wielkich górach, pokrytych szalenie bujną roślinnością krzewów, krzaków i drzew znanych nam tylko z obrazków i oranżeryi. Wszędzie piękne, na obrazach tylko napotykane u nas, barwy niebieskie, fioletowe i szafirowe rozweselały wzrok, gdziekolwiek było spojrzeć. Lazur ten przecudny przerywała jasna zieloność brzegów najbliższych oraz fioletowa i czarna ciemność dalekich gór.

Z gąszczu leśnego zalatywały do nas tajemnicze głosy ptaszków i owadów świergocących. Gąszcz ten żył. Lecz co ukrywał w swem łonie? Jakie mnóstwo tajemnic i zagadek? Wyobraźnia moja zaludniła ten kawałek ziemi bożkami mitologii starożytnej; tak sobie zawsze wyobrażałem niebo olimpijskie, siedzibę bogów greckich. Zdawało mi się, że gdzieś ujrzę niezadługo Wenus, z piany morskiej się wynurzającą, a co najmniej najady i syreny. Tymczasem wydobywały się na wędkę z wody jedynie ryby, które zaczęliśmy łowić z nudów.

Do samego południa wyczekiwaliśmy przybycia komisyi sanitarnej brazylijskiej. Wiedzieliśmy, że w razie niepomyślnego jej sądu o stanie zdrowia podróżnych na naszej Alakrycie, ta odbędzie kwarantannę w tem samem miejscu uroczem, w którem znajdowaliśmy się obecnie. Było nam bardzo pilno do lądu stałego i niepokoiła nas troska, że będziemy musieli podziwiać do przesytu te przepiękne widoki olimpijskie przez tygodnie a może i miesiące.

Byliśmy wszyscy pod wrażeniem wielkiej śmiertelności dzieci a przedewszystkiem owych „parchów“. Lekarz nasz miał do wyboru albo zameldować eskulapom Brazylii świerzbę, poddać nas wszystkich pod 40-dniową kwarantannę, albo przyznać się do pomyłki swej i przekonać Bazylian, że to są jedynie wyrzuty z gorąca.

Ilha Grande jest ważną stacyą sanitarną brazylijską. Na niej osadzają przybyszów do Brazylii, dotkniętych chorobami lub podejrzanych o nie; w jej zatoce zachodniej okręta odbywają kwarantannę z kombinacyami wylądowywania i leczenia się w szpitalach wielkich, na które spoglądaliśmy do woli już od kilku godzin. Zbudowane one były okazale, jak koszary, nad brzegiem morza. Robiły wrażenie początku przedmieścia, wysuwającego się z lasu i załomów gór.

Wreszcie w południe zoczyliśmy z dala łódź parową z chorągwiami brazylijskimi i sanitarnemi, odpływającą od tych szpitali; w ciągu kwadransa podpłynęła ona ku nam i parowiec nasz zaludnił się mundurami brazylijskimi.

Po południu przybyły 2 parowce francuskie ogromnych rozmiarów, pełne wychodźców włoskich. Niektórzy z bardzo bystrych i domyślnych naszych emigrantów, dopatrywali się towarzyszy polskich i rusińskich a nawet rozpoznawali znajomych. Jeden z nich nawet twierdził, iż widział konfederatkę czerwoną i wymieniał nazwisko jakiegoś gospodarza z Krakowskiego; wziąwszy lunetę dojrzałem, że ów mniemany Krakus jest grubym brodatym Włochem, owiniętym w wielką czerwoną płachtę i podobnym do Garibaldiego.

Nasze formalności sanitarne musiały być zawikłane. Rozprawiano wiele na okręcie z przybyłymi Brazylianami. Nasza wyższa służba okrętowa przez całe dwa dni coś dowodziła przybyszom w czarnych mundurach o złotych guzikach i galonach. Miałem wrażenie, że coś w rodzaju łapówki uspokoiło gorliwą służbistość urzędników brazylijskich co do stanu zdrowia naszego. Kapitan wyrażał się o nich z nietajoną pogardą; jednego, który zapewne najwięcej zagarnął pieniędzy, nazywał „questo animale“ (to bydlę).

Pomiędzy wychodźcami naszymi powstała myśl podziękowania kapitanowi za dobre obchodzenie się z nimi przez odśpiewanie: „Niech żyje nam“ i „Mnohaja lita“. Kapitan, gdy go zapytałem poufnie, czyby mu ten wyraz uznania był przyjemny, ucieszył się niezmiernie, lecz zauważył, że jesteśmy na samym wyjeździe i że przeto lepiej będzie hołd ten odłożyć do chwili rozstania się w Rio de Janeiro. Hołd został odłożony — lecz przy gorączce wysiadania zapomniano o nim, co było do przewidzenia.

Wieczorem 12. września tuż przed zachodem słońca wyjechaliśmy z Ilha Grande. Niebo się bardzo zachmurzyło. Ocean zatracił swe dotychczasowe błękity, niebiosa-granaty i lila i przybrał kolor mętnie zielonkowaty. Na pełnem morzu wysokie i pieniące się bałwany podrzucały silnie nasz statek, słońce zaś ostatniego dnia atlantyckiej podróży naszej, zaszło i pogrążyło nas w ciemnościach i we śnie. Stanęliśmy późną nocą w zatoce Rio de Janeiro.

ROZDZIAŁ II.

Rio de Janeiro — Paranagua — Kurytyba.

12. września. — Rio de Janeiro.

Nagła cisza, ustanie kołysania i hałasu maszyny parowej Alacrity, przerwały mi sen tak, jak zatrzymanie się młyna budzi śpiącego młynarza. Wyszedłem na pokład z bijącem sercem, aby ujrzeć po raz pierwszy ląd stały Nowego Świata i sławną z piękności zatokę. Ciemności nocne nie pozwalały mi się rozejrzeć — rozpraszały je niedostatecznie kilka gwiazdek i wąski sierp księżyca, znikający co chwila za chmurami. Natomiast po lewej stronie statku, ujrzałem w oddali mnóstwo światełek, jakby nagromadzenie spadłych dopiero co z nieba meteorów. Istotnie widziałem, jak kilka z nich się sypało w tym kierunku. Towarzyszyły nam półcienie i półświatła takie same jak wtedy, gdyśmy dojeżdżali do Neapolu. Serce moje zaczęło bić szybciej — dusza wstąpiła do raju, jaki odczuwałem wówczas, a gdy po paru godzinach nagle bez bawionia się w świty i przedświty słońce ukazało się i dzień zapanował, odsłonił mi się nieporównany w swej wspaniałości widok, przewyższający nawet ten, jaki sobie wytworzyła moja wyobraźnia o niebie olimpijskim. Po chwili zacząłem nawet na prawdę powątpiewać, czy Zeus i jemu podwładni bogowie marzyli kiedy o tak majestatycznej i cudnej siedzibie niebiańskiej. Znaleźliśmy się na środku potwornie wielkiego Morskiego Oka, otoczonego Alpami. Odróżniały się swymi kształtami: Garbaty — Corcovado (wym. Korkowado) — i Głowa cukru — Paô d'acucar (wym. pą d'asukar). — Corcovado wznosi się na południu zatoki. Bodaj najniższy to szczyt z najwyższych gór na ziemi. Przesłonięty był przezroczym puchem mgły. Paô d'acucar sterczy przy samym początku zatoki. Od morza przypomina potwora, niby olbrzymiego sfinksa bez głowy, siedzącego z wyciągniętymi łapami na ziemi; od zatoki wygląda jak kolosalny naparstek pochylony na zachód, a od zachodu tylko, t. j. od góry Corcovado podobnym jest do stojącej głowy cukru.

Miasto w głębi na zachodzie i południu zatoki nie imponowało swą wielkością. Miejscami tonęło w zieleni ogrodów. Domy pojedyncze ledwie można było rozróżnić z odległości. Morskie Oko, w którem „Alacrita" była malutkiem ździebełkiem, jest tak

wielkie, że nawet Londyn i Paryż nie wydałyby się nad niem potworami miast, jakiemi są w istocie, i zajęłyby tylko niewielką część wspaniałych jego brzegów. Spore zaś miasta mogłyby zakwitnąć na wyspach, skromnie ukryte w tropikalnej roślinności, bez zwracania uwagi na siebie. Rio de Janeiro, liczące 800.000 mieszkańców, bardzo rozległe i rozrzucone na przestrzeni tak wielkiej, jak największe europejskie, robiło wrażenie skromnego grodu.

Z rana przed południem zjawiło się na naszym statku znowu mnóstwo tych samych mundurów. Trzeba było czekać, aż wszystkie formalności celne, sanitarne i t. d. zostaną załatwione, by módz wyruszyć do miasta. Kto przedtem chciał wylądować z pakunkami, musiał sobie nająć stróża mienia skarbowego Brazylii i w jego towarzystwie dopiero udać się na ląd; towarzysz ten opuszczał klienta a właściwie kuferek jego natychmiast po odbyciu rewizyi na komorze celnej.

Jestem wciąż zasypywany dziwacznemi pytaniami do najwyższego stopnia rozciekawionych wychodźców.

Po południu w chwili najmniej spodziewanej oszołomiony zostałem przybyciem kilkunastu członków stowarzyszenia „Zgoda“ w celu przywitania mnie. Byli to pp. przewodniczący Franciszek Krauze, właściciel fabryki powozów, kasyer Józef Poznański, właściciel zakładu jubilerskiego, Franciszek Grobliński rękawicznik, Gotfryd Grolman, siodlarz-rymarz, Karol Woleński, Władysław Bendich i Bolesław Belter. Witali mnie, jako wysłannika z kraju ojczystego i delegata polskiego Towarzystwa Handlowo-Geograficznego. W rozmowie zachęcali gorąco wychodźców naszych do tego, aby udali się do stanu Parana. Dawno ci riożanejrowcy rodacy nie widzieli ludu naszego — radość ich i zaciekawienie były niezmierne — nie mogli się z naszymi prostakami nagadać i nimi nacieszyć.

Wychodźcy, widząc piękne czarne tużurki, całowali ich właścicieli po rękach. Lecz wysłańcy „Zgody“ byli ludzie postępowi: ganili więc ten głupi zwyczaj. Nauka braterska nie poszła w las i już obywano się bez niewolniczej ceremonii przy pożegnaniu. Uwierzono twierdzeniu, że w kraju wolnym, jak Brazylia, wyśmiewają się z takiego uniżonego zachowania. Niemniej jednak opowiadano mi, że przy wysiadaniu, obrzydliwy mulat, palacz na statku, wyciągnął z powagą łapę i kilku z naszych ją pocałowało — potem wstydzono się tego.

Zwyczaj całowania po rękach mężczyzn ganiłem i przedrwiwałem bez litości przez cały ciąg stykania się z ludnością polską w południowej Ameryce, przytaczając ów wypadek z mulatem. Spotykałem potem znajomych, którzy po paru tygodniach pobytu na wolnej amerykańskiej ziemi witali mnie, wyciągając z daleka już rękę i układając głowę sztywnie w tył, jakby w obawie, by nałogowo jej nie pochylić do mojej dłoni.

Mogłem się przed deputacyą „Zgody" pochwalić tem, że stosunek mój z wychodźcami był jaknajlepszy. Stawał się on w miarę podróżowania wspólnego coraz serdeczniejszy. Poznaliśmy się i wzbudziliśmy w sobie zaufanie. Cała służba okrętowa niższa i wyższa szczerze chwaliła naszych ludzi przed różnemi komisyami brazylijskiemi w Ilha Grande i w Rio de Janeiro.

Podczas całej podróży z Genui do Rio de Janeiro 17 dzieci umarło na okręcie, wszystkie niemal nasze, gdyż z włoskich umarło tylko jedno; ta większa śmiertelność dzieci była skutkiem poprzedniego zmęczenia podróżą ze Lwowa do Genui i dłuższej o 2 dni drogi morskiej, niż ją mieli Włosi, którzy wsiedli na okręt dopiero w Neapolu. Jednak zdaniem lekarza ogólny stan zdrowia naszych ziomków był mimo to lepszy, niż Włochów, a młode potomstwo, choć okazało się mniej wytrzymałe, pomnożyło się liczebnie o kilkanaście dusz.

Deputacya „Zgody" zabrała mnie swym małym parowczykiem na ląd; lecz rzeczy swoje musiałem zostawić i odbierać dopiero na komorze celnej nazajutrz i dni następnych, co się nie zapowiadało rozkosznie. Umieszczono mnie w hotelu Garson na ulicy Cattete (Kadetów); hotel to pierwszorzędny i niezbyt drogi, gdyż dziennie całe utrzymanie wynosiło tylko 10 milrejsów (fr.) z wykwintnem pożywieniem.

W restauracyi hotelowej powziął do mnie wielką sympatyę kelner, Niemiec z Austryi, jako do rodaka (austryackiego) i znosił mi potraw do nieskończoności; zamiast 5 czy 6, wedle ich zwykłego spisu, na śniadanie i obiad dostawałem 10 do 12 — a raz nawet naliczyłem z jakie 20 dań. Gdy przychodził mnie kto odwiedzić, rodak austryacki częstował go obiadem, twierdząc, że jako druh „amigo" stałego mieszkańca hotelu, gość mój był przypuszczony do pożywienia się bezpłatnie i bez obciążenia mego budżetu. Po jedzeniu kelner mi tłumaczył, że z owoców podawanych przy obiedzie mogę sobie zabrać tyle do mieszkania, ile mi się tylko podoba. Spożywałem tedy w wielkiej ilości przy obiedzie i po nim olbrzymie i smaczne pomarańcze. Dopiero inny kelner

Brazylijczyk, po kilku dniach zwrócił mi uwagę na to, że drogą pomarańcz najłatwiej dostać żółtej febry; ochłonąłem tedy nieco w zapale pomarańczowym i, jeżeli śmierć czyhała na mnie, to w każdym razie nie głodowa w hotelu Garsona.

Uderzył mnie swą nowością zwyczaj brazylijski stawiania wielu potraw na stole równocześnie; później przekonałem się, że zwykle stawia się wszystkie potrawy obiadu odrazu na stole i że w hotelu Garsona połowicznie tylko do tej mody się stosowano. Ciągle trwające ciepło sprawia, że się nie oziębiają tak prędko, jak w Europie, a używa się zapachu smacznych rzeczy.

Pokój dano mi z drzwiami wychodzącemi na ogród, przez który zachodziłem do siebie środkiem cieplarnianych u nas, a tu zwykłych drzew, krzaków i kwiatów, albo bokiem długą weranda wzdłuż pokoi hotelowych. Zapamiętałem wysokie palmy „cesarskie“, o drzewie prostem, wysokiem, gołem, jasno-szarem i takiej samej grubości przy ziemi jak u szczytu, z którego sterczy i zwiesza się, jak wiecheć, bujna kępa liści podłużnych.

W dnie wilgotne i dżdżyste roje małych robaczków świętojańskich połyskiwały na trawie i piasku najwidoczniej w nocy; lecz i w dzień można je było dostrzec.

W hotelu na samym wstępie powiedziano mi, że w klimacie tak gorącym, jak riożanejrowski, koniecznem jest brać codziennie z rana zimną kąpiel lub natrysk, bo wtedy ciało staje się o wiele odporniejszem na gorąco.

Hotel Garson zaopatrzony był w kąpiel prysznicową, dosyć pierwotną: tworzyła ona malutki pokoik o drewnianych ścianach i podłodze.

Z publiczności, przechadzającej się po ogrodzie, nie zauważyłem nic godnego uwiecznienia w mem sercu lub na płycie fotograficznej. Zabawił mię murzyn w roli piastunki. Trudno sobie wyobrazić troskliwszej niańki. Rozmawiał i bawił się z malcem, bez przerwy sadzał go na głowie, łopatkach i ramionach, podrzucał, tańczył z nim i tarzał się po ziemi.

Łóżko w hotelu było obszerne, ale bardzo twarde, nie miększe od prostej deski, powleczonej prześcieradłem. W gorącym klimacie tylko takie jest używane, dla tego że chłodne: każde inne pono wytwarza tak nieznośne gorąco, że w niem nie można wyleżeć. Nad łóżkiem, obejmując je z góry, wisiał mosquiteiro — przezroczysta opona z muślinu, chroniąca od komarów i muskitów. Szczęściem w porze ówczesnej nie było ich w Rio de Janeiro i mgła ta muślinowa wisiała jedynie dla ozdoby.

W dzień przyjazdu do stolicy Brazylii wieczorem po zakwaterowaniu się w hotelu, zostałem zaproszony do lokalu „Zgoda“. Przyjęto mnie uroczyście i życzliwie, były mowy powitalne i zapytania, na które odpowiadałem w dłuższych przemówieniach, a raczej w jednem, ciągle przerywanem, objaśniając powody mego przybycia do Ameryki południowej. Wywieszono na ulicy wspaniałą chorągiew towarzystwa „Zgoda“, mimo dziwacznych, ale bezsilnych protestów, jakichś konsulów europejskich, sąsiadujących z lokalem naszym.

Z rozmów z członkami „Zgody“ wymiarkowałem, że obawiano się, że nie raczę odwiedzić Towarzystwa rodaków, złożonego ze skromnych pracowników. Moim poprzednikom niektórym słusznie miano za złe, że ominęli lokal Stowarzyszenia polskiego w stolicy Brazylii.

14.—16. września. — Rio de Janeiro.

Pobyt mój w stolicy Stanów Zjednoczonych Brazylii musiał się nieco przeciągnąć. Był to koniec zimy tamtejszej a początek wiosny. Miesiąc wrzesień jest marcem południowej półkuli. Upał wprawdzie mi dokuczał trochę, lecz znosiłem gorąco to bez wielkiej uciążliwości, podobnie jak upalne dni w Polsce.

Miasto Rio de Janeiro tylko w pierwszej chwili nie zrobiło na mnie korzystnego wrażenia; poznawszy je lepiej, zmieniłem zdanie o niem. Ciasne uliczki śródmieścia o domkach bezpiętrowych lub jednopiętrowych przenosiły mnie w świat średniowieczno-indyjski. Najwspanialszą ulicą jest rua Ouvidor (wym. Uwidor), nie szeroka, z pięknemi wystawami sklepowemi, wolna od ruchu powozów i tramwajów, zawsze ożywiona. Inne w śródmieściu są bardzo wązkie. Mimo to zaopatrzono je w tramwaje, suwające z konieczności tuż przy wązkim trotuarze, tak że stopniem niemal występują nad krawędzią chodnika i łatwo mogą zaczepić nieuważnego przechodnia.

Powoli dopiero po rozglądnięciu się w mieście uwydatnia się to ogromne zbiorowisko ludzi, pełne ruchu i życia. Tramwajami elektrycznemi i konnemi przebiega się do różnych części stolicy, a godzinami całymi jedzie się i to szybko, by wydostać się za miasto. Środki komunikacyjne ogromnie ułatwiają mierzenie tak znacznych przestrzeni. Są nimi tramwaje, ciągnione przez muły, oraz poruszane parą i elektrycznością. Powozów i dorożek nie widać. Tramwaje elektryczne są bardzo wielkie i długie —

na domiar oryginalności zaprzężone bywają po trzy naraz, niby mały pociąg.

Za 200 rejsów (t. j. mniej więcej 6 kopiejek, 8 centów austryackich, 15 fenigów), możesz używać przejażdżki przez całą godzinę bardzo szybkiej, dorównywającej miejscami biegowi pociągu pospiesznego np. przy Passeio Publico (ogrodzie publicznym) i na ulicy Cattete. Masz wrażenie, że jesteś w jakimś kraju rozległym, zupełnie uspołecznionym, wyśnionym przez Saint-Simona, Furjera i innych socyalistów romantyków, gdzie nikomu do głowy nie przychodzi używać tak przedpotopowych środków lokomocyi, jak własne nogi, lub własny albo najęty wyłącznie dla siebie powóz. Pędzą tramwajami sprzężonemi co jakie 5 minut całe liczne stowarzyszenia, oddziały wojsk, orszaki ślubne, orkiestry instrumentów detych i rżniętych, których wesołe melodye wpadają do ucha jadącemu w przeciwną stronę, jak huragan i milkną po chwili.

Po kilku dniach takich jazd spostrzegasz, że stolica Brazylii nie jest miastem jednolitem, lecz raczej zlepkiem różnorodnych przedmieść, miast i miasteczek: więcej różniących się i oddalonych od siebie niż Nalewki, Stare Miasto, Praga, Aleje Ujazdowskie i ulica Marszałkowska w Warszawie. Są to ruchliwe przedmieścia portowo-handlowe, wielkie osady fabryczne o szerokich i zaniedbanych ulicach, zacisza górskie o wspaniałych hotelach, przypominające wielkie uzdrowiska i miasta kąpielowe alpejskie, a zwłaszcza całe olbrzymie dzielnice ulic: jak Ujazdowska w Warszawie lub Thiergarten w Berlinie, położonych pod górami lub nad wodą, (Larangeira, Botafogo, Copocabana, Cattete i inne), z tą różnicą, że eleganckie wille i hotele prawdziwie toną w ogrodach roślinności równikowej.

Od śródmieścia o bardzo zgęszczonym ruchu ludzkim, odbywającym się jedynie tam na nogach, biegną tramwaje na wsze strony, roznosząc ludność i dowożąc ją z wielkiej niekiedy odległości, bezustannie do serca miejskiego. Szyny tramwajowe mają swe główne źródła przy ulicy magistralnej Ouvidor, od której odpływają prostopadle.

Rio de Janeiro jest pierwszorzędną stolicą. Panuje w niej ogromny ruch handlowy, przemysłowy i polityczny. Stała się ona od dawna siedzibą Uniwersytetu i różnych akademij, towarzystw naukowych i znacznych bibliotek publicznych jak: narodowa, politechniczna, portugalska, fluminense (rzeczna czyli riożaneirowska t. j. miejska) i t. d. Spółek i towarzystw handlowych, przemy-

słowych, przewozowych. klubów politycznych i t. p. stowarzyszeń jest bez liku, jak to zwykle w kraju wolnym i żywotnym.

Mimo ruchu i wyglądu wielkomiejskiego, można łatwo w obrębie tego kipiącego ogniska kultury doznać wrażeń puszczy leśnej. Wystarczy udać się na góry św. Teresy. św. Antoniego, Gloria, Cantagallo, wznoszące się w mieście albo tuż przy niem. Miasto je okala całkiem lub częściowo. Wyniosłości te, dość znaczne i strome, mają części zarosłe krzakami i drzewami, gdzie prawdopodobnie jeszcze stopa ludzka nie postała.

Niejedna z tych gór zawiera złoto tak, jak przy wstępie zatoki „Głowa Cukru". Anglicy chcieli je wyzyskać pod względem mineralogicznym, lecz z warunkiem, że kruszec znaleziony będzie całkiem do nich należał. Zobowiązali się przytem górami zniesionemi przysypać część zatoki, przez co stworzyliby nowe dogodne miejsca dla ruchu budowlanego. Góry bowiem przeszkadzają normalnemu zabudowywaniu się miasta i stolica brazylijska musi w swym rozwoju zapuszczać ulice i dzielnice swe naokoło ich stóp bez możności wdrapywania się na zbyt strome szczyty.

Niepojętem jest dla mnie, dla czego nie przyjęto propozycyi angielskich — prócz może zniesienia „Głowy Cukru". Ta bowiem, tworząc wraz z górami sąsiedniemi wrota zatoki, broni istotnie miasto i, gdyby umieszczono w jej łonie skalistem galerye z setkami armat, mogłaby się ona stać Gibraltarem brazylijskim. Lecz czyż szczęśliwa Ameryka będzie kiedykolwiek potrzebowała miejsc niezdobytych i czy niezadługo postępy techniki nowoczesnej nie doprowadzą niemal do zera wartość wojenną warowni takich nawet jak Gibraltar?

Rio de Janeiro ma wspaniałe ogrody, jak: aklimatacyjny, publiczny a przedewszystkiem botaniczny. Takiego pewnie niema na kuli ziemskiej; chyba tylko w Batawii. Bogactwo drzew, krzaków i innych roślin. zasadzonych porządnie i systematycznie z objaśnieniami łacińskiemi, jest niezmierne. Ogród taki, to istny raj dla ogrodnika i botanika. Zwykłego zaś śmiertelnika, nie mającego pojęcia o botanice, przepych oszołomi, a zahipnotyzuje na chwilę widok długiej alei palmowej, wyłożonej białym marmurem Drzewa te są ogromnej wysokości, proste jak świece, z czubem liściastym. Szczególnie jedno odosobnione, odznacza się ogromnym wzrostem. Jest to sędziwa, lecz wcale czerstwa jeszcze matrona, najpierwsza z tego rodzaju palm pochodzenia afrykańskiego. Ma u stóp metrykę swoją, zapisaną na tabliczce.

Lecz przepych budynków, placów, pałaców i alei riożaneirowskich, choćby były stokroć nawet piękniejsze, są niczem wobec czarującej piękności okolic. Zatoka wygląda jak olbrzymie jezioro w Alpach o podłużnym kształcie i z tego powodu pierwszy jej odkrywca Cabral w 1532 r. wziął ją w styczniu (miesiącu zwanym po portugalsku Janeiro) za rzekę. Dla tego też zatoka i miasto zwą się „stycznio wemi“ de Janeiro, a rzeczy i osoby dotyczące stolicy Brazylii, przezwane są „rzecznemi“ fluminense.

16. września. — Rio de Janeiro. Konsul austryacki.

Po stracie papierów polecających i paszportu w Udine, byłem w przykrem położeniu. Zadanie moje, dla którego przybyłem do Ameryki, przedstawiało się znacznie utrudnionem. Tem więc usilniej pragnąłem dostać nowe polecenia od reprezentacyi swego rządu austryackiego i od brazylijskiego. Niezwłocznie udałem się do generalnego konsula i ambasadora Austro-Węgier.

Pierwszy przyjął mnie wprawdzie grzecznie, dał dokładne wskazówki, kiedy zastać ambasadora w Petropolis (pół dnia jazdy parowcem i koleją żelazną od Rio de Janeiro), lecz bardzo nieszczególne sprawił na mnie wrażenie, jako źródło wiadomości o Brazylii, wychodźctwie z Austryi i kolonizacyi. Przypuszczam, że dzielnie się znał na handlu wielko-światowym i świetne były jego sprawozdania konsularne, a wysiliwszy się w tym kierunku, okazywał chińską zarozumiałość, niedołęstwo i klasyczną rutynę austryacką w sprawie wychodźctwa. Do istnienia takich urzędników przyczynili się poprzednicy ministra Gołuchowskiego. Oni to konsulom austryackim kazali się troszczyć jedynie o sprawy handlowe, a wychodźctwo uważać na nieistniejące, bo nie odpowiadało widokom rządu wiedeńskiego, który zawsze lubiał pozostawać w tyle o jedną ideę lub część stulecia.

Pan konsul raczył mi z punktu oświadczyć, że polscy wychodźcy, to „skończone bydło“, które nawet nie wie, że jedzie do Brazylii, Australii czy Afryki. Na dowód tego przytoczył fakt, że sam z nimi przyjechał przed kilku miesiącami, stykał się z nimi przez cały miesiąc podróży i przyszedł do przekonania, iż ci ludzie zawsze brudno się noszą, zupełnie niepodobna się z nimi rozmówić i porozumieć (po niemiecku) i wszyscy wreszcie na ziemi brazylijskiej bezwarunkowo muszą zginąć z głodu. Gdy przebąknąłem, że przecież od paru lat korespondowałem, siedząc we

Lwowie, z takimi kolonistami polskimi, którzy nie zdążyli jeszcze z głodu przenieść się na łono Abrahama, przerwał mi i niemal zakrzyczał swoim argumentem niezbitym, że zna Brazylię i wie co się w niej dzieje.

Widziałem przed sobą wspaniały okaz kulturtregera, dawno niewidzianego na tak bliską metę, dwóch kroków. W pierwszej chwili rozgniewało mnie to i uważałem za swój obowiązek dać siarczystą odpowiedź, zaostrzyć sprzeczkę, doprowadzić może do awantury. Na moje nieszczęście a właściwie szczęście, przybyłem do konsula z rodakiem p. J., muzykiem zdolnym, osiadłym od kilku lat w Rio de Janeiro. Ten, jako także „znający Brazylię“, wziął żywy udział w rozmowie i gorąco popierał przedstawiciela interesów ekonomicznych Austro-Węgier, twierdząc, że „każdy, który przybywa do Brazylii, musi umrzeć z głodu“. Co zamierzałem usta otworzyć, by nadmienić skromnie choćby tylko to, że mam przed sobą rodaków austryackich, którzy w rozmowie ze mną aż nadto dają znaków życia, rozpoczynał się duet unisono, uprzedzający każdą moją odpowiedź i każde moje zapytanie za pomocą dowodzeń niezdradzających najmniejszego wahania.

Ochłonąłem. Kulturtreger i emigrant, namiętnie zwalczający emigracyę, przestali mnie złościć, a zaczęli śmieszyć. Ciekawe okazy zwierząt wypycha się i wstawia do muzeów zoologicznych. Zapragnąłem wtedy namiętnie takiego udoskonalenia techniki, aby z dwóch moich interlokutorów można było aparatem kieszonkowym zdjąć szereg migawkowych fotografii, uchwycić całą naszą rozmowę w fonografie i dźwięki, dopiero co słyszane, na wieczną pamiątkę złożyć do odpowiedniego muzeum antropologicznego.

Ostatecznie zamilkłem, mile się uśmiechnąłem, podziękowałem za wyczerpujące wiadomości o wychodźcach austryackich i wyniosłem się. Nie miałem bowiem ochoty i czasu podjąć się wykształcenia 2 pełnoletnich mężów i zaniechałem na zarzuty brudu naszych emigrantów odpowiedzieć, że największy elegant w 3-ciej klasie parowca zderanżuje sobie zaraz toaletę przy ładowaniu węgla i że „bydło“ wiedziało o Brazylii stanowczo więcej od konsula, bo domagało się odwiezienia do Parany, nieznanej konsulowi prowincyi Brazylii. Opuszczając progi konsulatu, westchnąłem tylko z politowania nad instytucyą austryacką w Rio de Janeiro.

Nazajutrz udałem się do Petropolis, siedziby nie tylko ambasady Austryi i Węgier, ale niemal wszystkich innych poselstw, oraz wyższych dostojników Brazylii. Wyjechałem o 7-mej rano parostatkiem z północnego portu Maua. Piękna pogoda przedsta-

wiła mi zatokę riożaneirowską w całej jej okazałości. Wysepki, które mijaliśmy, nie są zbyt górzyste: śpiewałbym o nich gdzieindziej, lecz w zatoce riożaneirowskiej nie mogły zwracać mej uwagi na siebie.

Stada delfinów torowały nam drogę. Pływały jeden za drugim i po kolei wynurzały się z wody niby okrągłe tarcze z głową do góry po to, by za chwilę znowu okrągłym powolnym ruchem zanurzyć się w fali. Nasz parostatek, przeznaczony do wycieczek, z salonowo urządzonym niskim pokładem, był z przodu zakończony szeroko i okrągło bez baryerki ochronnej. Łatwo można było laską pluskać w wodzie marszczącej się lekko przed pochodem paroweczyka, nie przeznaczonego do bałwanów morskich.

Północny brzeg zatoki, do którego zmierzaliśmy, zmieniał się nam w oczach. Góry malały i odsuwały się w głąb. Sam brzeg okazał się niskim. Płaszczyzna moczadeł oddziela go od gór. Stanęliśmy przy nim około 10-tej; czekał na nas pociąg.

Jazda koleją żelazną do Petropolis trwała parę godzin. Przebiegliśmy najpierw płaszczyznę po przez moczary i krzaczaste zarośla; przez chwilę zatrzymaliśmy się u stromego podnóża niedostępnych na oko gór, zagradzających nam drogę; żadnego ujścia nie widziałem ani do ich wnętrza, a tem mniej do ich szczytów. Tymczasem, zamiast cofnąć się z powrotem, przyczepiono do przodu naszego pociągu specyalną lokomotywę o tylnych kołach znacznie większych od przednich, i przez to mocno pochyloną naprzód. Parowozy takie, których było kilka na stacyi podgórskiej, robią wrażenie elegantki podkasanej w kankanie, lub przy przejściu przez błoto. Elegantka gwizdnęła mezzosopranem i pociągnęła nas krętą drogą do głębi niespodzianych wąwozów pod górę.

Szybko okrążaliśmy wężowym ruchem ogromne stożkowate skały, coraz więcej strome ku szczytom. Od czasu do czasu otwierała się nam perspektywa na zatokę riożaneirowską, która stawała się coraz piękniejsza, im bliżej byliśmy nieba. Przy ostatnich zakrętach, o ile dym brunatny, pachnący węglem kamiennym od lokomotywy, nie szczypał mnie zbyt mocno w oczy, widziałem całą zatokę w drobnych rozmiarach, jakby przez tylną stronę lunety. „Głowa cukru“ na jej krańcu południowym wydała mi się naparstkiem na drobną rączkę, „Garbaty“, Corcovado kupką ziemi, pochyloną na zachód w dziecinnym ogródku. Stolicę Brazylii ledwie rozpoznawałem u stóp tych dwóch olbrzymów; znikała pod nadbrzeżnemi wyniosłościami, jak ledwo dostrzegalne istne gniazda jaskółcze.

Parowa elegantka gwiżdże tymczasem przeraźliwym niskim tonem coraz częściej. Wjeżdżamy wreszcie do osady Petropolis. Wtedy do świstu przyłącza się głos dzwonu, dźwięczącego na lokomotywie, jakby w kościele wiejskim na Anioł Pański. Pociąg wił się dokoła gór po przez gęsto zaludniony szmat ziemi, niby przez miasteczko, niby przez wille podmiejskie z ogrodami, niby przez miejsce kąpielowe w Europie, wreszcie zwolnił biegu i stanął.

Petropolis jest wielką i zamożną osadą. Była to z początku kolonia szwajcarsko-niemiecka, lecz teraz do jej środka przybyło na mieszkanie mnóstwo ludzi zamożnych wszelkiej narodowości, przeważnie Brazylian. Wysokie położenie daje tej okolicy klimat względnie chłodny i bardzo zdrowy. A pierwotni szwajcarsko-niemieccy osiedleńcy dostarczają przedniego nabiału możnym przybyszom. Wszyscy wysocy dostojnicy mieszkają tam stale, korzystając ze świeżego powietrza gór, zdala od żółtej febry. Wszędy widać pierwszorzędne hotele, eleganckie wille z pięknemi ogrodami, szerokie ulice, wygodne chodniki i wreszcie ładny gmach szkoły „Teuto-Braziliana“ (niemiecko-brazylijska).

Ambasador austryacko-węgierski, hr. Tevera, przyjął mnie uprzejmie. Uwydatniał on na każdym kroku zupełnie inną znajomość spraw światowych i brazylijskich, niż jeneralny konsul. Mylił się wprawdzie, przesadzając mi antagonizm między ministerstwami federalnemi stolicy brazylijskiej a urzędami pojedynczych stanów, zwłaszcza obecnie na południu Brazylii. Twierdził np., że polecenie z Rio de Janeiro ministeryalne, o które prosiłem, tylko może zaszkodzić u urzędów stanowych z powodu wielkiej niechęci pojedynczych stanów do stolicy.

Oświadczył mi, że nie otrzymał z Wiednia od hr. Gołuchowskiego żadnych wskazówek co do tego, żeby mnie polecić władzom brazylijskim i wogóle pomódz mi, i że znać mnie może tylko z paszportu prowizorycznego, wydanego przez konsula austryackiego w Genui, jaki miałem przy sobie. Wszelako przyobiecał zrobić dla mnie, „co będzie mógł“, a m. i. wystarać się o polecenia ministeryalne brazylijskie do prezydentów pojedynczych stanów. Wątpił przytem jednak, czy będzie mi mógł wyświadczyć jakąkolwiek przysługę istotną.

Po takiej odpowiedzi od urzędnika austryackiego wyszedłem rozczarowany i przygnębiony. Nad marnościami tego świata miałem czas rozmyślać aż do odejścia pociągu, t. j. do godziny 4-tej.

Czarne, smutne myśli opanowały mnie tak, że zjeżdżając z góry koleją i przesuwając się parowcem w rozkoszny wieczór po pięknem zwierciadle zatoki, nie zważałem już ani na cuda przyrody, ani nawet na uśmiechającą się ładnie Angielkę, towarzyszkę podróży. Cóż pocznę bez poleceń i bez znacznych środków pieniężnych? Jak objechać kolonie polskie, zbadać stosunki osadników, poznać warunki handlowe takiego olbrzymiego obszaru jak południowa Brazylia i Argentyna? Zdawało mi się, że rozbijam sobie głowę o mur granitowy.

Przybywszy wieczorem do hotelu w Rio de Janeiro, zastałem u siebie młodego Salezyanina z Turynu, ks. Trawińskiego. Była to pora obiadowa, zaprosiłem więc gościa. Przyjaciel „rodak“ kelner, raczył nas obficie potrawami nie kończącej się biesiady i polecił nam znakomite istotnie wino Oporto, którego przy ożywionej rozmowie wysuszyliśmy na poczekaniu 4 butelki... prawie bezwiednie. Oczom naszym nie dowierzaliśmy, widząc przed sobą na stole tyle bezdusznych trupów.

Przy darach Bożych prysnęła czarna rozpacz, tembardziej, że z rozmowy młodego kapłana zajaśniał mi promień nadziei. Trawiński bystro się oryentował w Brazylii po kilku miesiącach pobytu w Rio de Janeiro, S. Paulo i Paranie. Powracał do Europy z pięknemi trofeami myśliwskiemi i ciekawemi okazami flory i fauny brazylijskiej. Żałowałem w duchu, że to wszystko pozostanie we Włoszech a nic nie zabłąka się do zbiorów polskich; ale najmniejszej uwagi mu z tego względu nie zrobiłem, bo wszystkie jego zdobycze miały już swe przeznaczenie z góry.

Światły ksiądz ten zachwalał bardzo brazylijskiego ministra robót publicznych i komunikacyi, p. Antoniego Olyntho, jako przystępnego i sprzyjającego cudzoziemcom. Poradził mi go odwiedzić i w braku paszportu i papierów legitymacyjnych przedstawić mu szumny bilet wizytowy: Dr. Estanislau Kłobukowski, Director da Sociedade Polaca Geographica Commercial e membro do comite emigratorio em Lemberg Austria (Dyrektor Towarzystwa Handlowo-Geograficznego i członek komitetu emigracyjnego we Lwowie, Austryi). Uchwałę tę powzięliśmy z zapałem. Jakoż pełen jaśniejszych myśli, postanowiłem niezwłocznie nazajutrz udać się do pana ministra.

18.—23. września. — Minister Antoni Olyntho.

Znalazłem się więc niebawem w ministerstwie brazylijskim. Minister Olyntho, czy to uprzedzony przez hr. Taverę, (na co zdaje mi się nie było czasu), czy też od razu dobrze usposobiony z prostego wrażenia, przyjął mnie jak dobrego znajomego. Okazał się uprzejmym, słuchał mnie uważnie, chętnie wypytywał się i również uprzedzająco odpowiadał na zapytania. Mnie zaś usposobiła korzystnie dla niego wielka ufność jego do tego, co mu mówiłem, ufność daleka od półbarbarzyńskiej ostrożności i ceremonialności, jakąby mi zupełnie nieznanemu i po raz pierwszy widzianemu najniezawodniej okazał przeciętny minister europejski w podobnych okolicznościach. Dowody legitymacyjne, które zgubiłem w Udine, stały się zupełnie zbyteczne. Nie potrzebowałbym był ich wcale wydobywać z kieszeni, gdybym je miał przy sobie: więcej on wierzył słowom, niż zapisanej bibule. Efektowny może, lecz żadnego fałszu nie zawierający bilet wizytowy, był mi jedynym listem polecającym i tyle wartym dla niego, co polecenie od panującego.

Po paru posłuchaniach, minister dawał mi już widoczne znaki nawet swej przyjaźni. Zaprosił mnie do swej rodziny w stanie Minas Geraes (kopalnie ogólne), pod miastem Diamantina. Życzliwość ta może była cokolwiek interesowna, lecz w dobrem tego słowa znaczeniu. Jest on bowiem wielkim patryotą swego stanu, najludniejszego i bogatszego ze wszystkich brazylijskich. Choć z zawodu inżynier i przez to bardzo przystosowany do kraju ojczystego, pełnego pokładów wszelkich kruszców, zajmuje się żywo rolnictwem tamtejszem, które może istotnie rozwinąć się tam na niezmiernych obszarach. W stanie Minas Geraes, wielkim 2 razy jak Niemcy, a mającym tylko 4 miliony ludności, potrzebne są ręce robocze do kopalń i roli.

Chciał on tedy, bym w tamte strony z jego pomocą kierował wychodźców naszych. Ledwie oparłem się temu, walcząc ze wszystkich sił z jego argumentacyą i uprzejmością. Wymówiłem się koniecznością zwiedzenia wpierw stanu Parana i innych południowych brazylijskich, gdzie są już kolonie polskie i gdzie mam do załatwienia pilne interesa pieniężne. Szczególnie trudno mi przyszło toczyć walkę dyplomatyczną z nim, gdym nierozważnie wypowiedział prawdopodobieństwo przybycia 8 do 10 tysięcy

Galicyan w ciągu roku. Dostać naraz tyle rąk pracowitych dla Minas Geraes, byłoby to gratką nielada dla niego.

Jednak, mimo mej stanowczej odmowy namawiania rodaków do tego środka Brazylii, kazał wygotować mi ministeryalne polecenia do prezydentów stanowych i wybitnych osobistości południowej Brazylii. Wtedy zrodziła mi się w głowie myśl prawdziwie amerykańskiej czelności, t. j. utyskiwania na obszary brazylijskie i wielkie koszta lokomocyi po tych przestrzeniach, by potem prosić swego przyjaciela ministra o udzielenie mi wolnej jazdy parostatkami i kolejami żelaznymi Brazylii. Niezwłocznie zarządził udzielenie mi odpowiednich biletów. Na domiar uprzejmości kazał wydać dla 3 członków towarzystwa „Zgoda“ pozwolenie zwiedzania każdej chwili hotelu immigrantów na Wyspie Kwiatów, o co go także prosiłem. Członków tych zapragnął poznać; zaprezentowałem ich na następnej wizycie; byli to panowie Franciszek Krauze i Józef Poznański.

Ogromnie zainteresowałem pana ministra sprawą nawiązania stosunków handlowych z memi krajami ojczystymi. Dowiedziawszy się, że wiozę próbki towarów, zarządził częściowe zwolnienie cła od 5 pakunków. Gdy się udałem do urzędu celnego, przeprowadzono rewizyę moich kufrów i pak w sposób podobny do rozszarpywania baranów przez wilki. Wyjęto z nich wszystko, rozwiązywano, ważono, obliczano i ostatecznie wykombinowano, że mam zapłacić 400 milrejsów. Gdy jednak pokazałem list od ministra, popatrzono na mnie ze zdziwieniem. Urzędnik wydał mi zaraz skrypt uwalniający od cła 24 pak; zrozumiał mylnie, że tyle ich miałem ze sobą. Okazało się niestety, że miałem rzeczy, których sam minister nie mógł ochronić całkowicie od łakomej paszczęki celnej, jak wódki, buty, rękawiczki i książki oprawne i zapłaciłem tylko 90 milrejsów. W każdym razie po wizytach u ministra Olyntho, stanąłem na nogach jak kot, który spadł z 4-go piętra.

Po 10-ciu dniach pobytu w hotelu Garson, przeniosłem się do gościnnego lokalu „Zgody“, położonego blisko moich znajomych rodaków i miejsc, gdzie miałem najwięcej interesów do załatwienia.

24. września. — Zabezpieczenie przed cholerą. Wycieczka do Wyspy Kwiatów (Ilha das Flores) i Nicteroy.

Wychodźców naszych można było odwiedzać albo na Wyspie Kwiatów w wielkim hotelu emigracyjnym, oczekujących

statku, albo już na parowcu w chwili odpłynięcia na południe. Aby się więc dostać tam do nich z miasta, wypadało jechać parę godzin łódką. Albowiem wyspa ta jest dosyć oddalona od brzegu miejskiego Rio de Janeiro, a położona przy przeciwległym, blizko Nicteroy, przedmieścia stolicy.

Urządzono dla mnie w sześć osób wycieczkę do okrętów i do hotelu emigrantów. Już wsiadaliśmy do łódki około 10-tej rano, gdy mnie rodacy zapytali, czy już jestem po śniadaniu, (tj. rannym obiedzie), bo dopiero późno wieczorem około godz. 6-tej mieliśmy wrócić. Odparłem, że nie miałem czasu na obiad i że chętnie się godzę nie jeść aż do wieczora, byle tylko nie było opóźnienia. Uznano z powagą, że w takim klimacie, jak riożaneirowski, jest bardzo niebezpiecznie głodzić się i opadać ze sił, tak jak i nadużywać jedzenia, picia i życia.

Żółta febra bowiem podobno łatwiej chwyta i na tamten świat unosi organizm słaby, niż silny. Z jej uścisków ratuje się prawie na pewno każdy wypoczęty i zdrów, rzadko biedak zmęczony i cierpiący. Człowiek o siłach nadwątlonych niemal nigdy się jej nie oprze. Mikrob żółtofebryczny, gdy założy kolonijkę w organizmie ludzkim, osada ta rośnie w miarę gruntu podatnego, szczególnie w żołądku słabym. Kolonizacyę tę trzeba przerwać i wypędzić intruzów. Lecz operacyi wygnania gości nieproszonych słaba konstytucya nie wytrzyma. Może się ona wprawdzie zawsze udać w zupełności, lecz mała z tego korzyść, jeżeli pacyent umrze.

Bakcylus żółtej febry ma być bliskim kuzynem cholerycznego, czy nawet jest nim samym. Działa jednak na żołądek wręcz odwrotnie. Pokarm w nim twardnieje na kamień: kto go z siebie wyrzuci, ten się wyratował. W ciągu 3 dni sprawa się rozstrzyga. Od lekkiego bólu głowy dochodzi się do okropnego łamania w kościach, zwłaszcza pacierzowej. Walka życia z kostuchą nie trwa dłużej niż 3 doby. Tylko z jakie 6 tygodni potem trzeba się lizać z ran zadanych czubkiem kosy tej miłej pani.

Aby ta dama całkiem mnie nawet nie dosięgła, postanowiono wzmocnić mój organizm w dobrej restauracyi. Skutek odwracania grożącego mi niebezpieczeństwa był w każdym razie ten, że mi się istotnie potem świat przedstawiał różowo. Czułem wyraźnie, jak mi się wzmogła odporność na wszelkie mikroby i niebezpieczeństwa. Parłem do tego, żeby wsiąść na łódkę bez dalszej straty czasu.

Wkrótce więc opuściliśmy brzeg miejski koło urzędu cłowego (Alfandega) i popłynęliśmy morskim błękitem, przesuwając

się między okrętami różnej wielkości, zalegającymi zatokę. Wciąż na wszystkie strony rozlegały się gwizdania parowców, po których można poznać ich wielkość. Gwizdanie niskim basem oznacza wielkiego potwora morskiego nieraz o 2 kominach, małe parowce tną cienkiego kuranta.

Ponad statkami, ruszającymi się po błękicie siłą pary, żaglami i wiosłami, lata i skrzeczy mnóstwo rybitw, podobnych do białych jastrzębi z dzióbem w kabłąk i z skrzydłami długiemi a wązkiemi, lekko zakrzywionemi. Od czasu do czasu taki krogulec, jak kula z nieba, wpada do wody i po niejakim czasie wylatuje znów z niej do góry, trzymając rybkę w dziobie.

Zbliżyliśmy się do statku parowego brazylijskiego. Był na wyjezdnem do Paranagua (w stanie Parana). Zabierał moich towarzyszy podróży atlantyckiej do Parany, którzy poznali mnie i pytali się, czy z nimi nie pojadę. Kapitan nie pozwolił wstąpić na statek: opływaliśmy go więc wokoło, rozmawiając głosem podniesionym. Ktoby nie wiedział, że dzieli nas wysokość przeszło dwupiątrowa i nie rozumiał mowy polskiej, myślałby, że mało co brakuje do grubej awantury. Tymczasem były to serdeczne słowa powitania i pożegnania: „Jak pan się ma? Niech pan z nami jedzie! Kiedy to ujrzymy pana? Oj brak nam będzie pana! Jak się macie moi drodzy? Zobaczymy się z pewnością! Niezadługo pojadę też za wami!" Wypowiedziane to było jednak wrzaskiem używanym zwykle, gdy się mówi: Ty złodzieju! Umykaj, bo cię trzepnę!.

Odpłynęliśmy niebawem do Wyspy Kwiatów. Jest to uroczy kawałek ziemi, podobny do pierwotnego miejsca pobytu Adama i Ewy; szkoda tylko, że nie zawsze panują tam rajskie stosunki. Choróbki podzwrotnikowe, nadużycia urzędników i t. p., czynią z tego raju istne piekło. Jednak zastałem wszystko w porządku. Urzędnicy pokazywali mi kuchnię i zapasy żywności, opowiadali szczegółowo, co wychodźcy dostają na obiad i kolacyę. Grochy, fasole, ryże, mąki i t. p. w szufladach i skrzyniach w suchym stanie imponowały mi istotnie. Z rozmowy z ludźmi naszymi dowiedziałem się, że jak dotąd, karmiono ich nieźle, otaczano opieką i baczono na ich zdrowie. Zwiedziłem szpitale, rozmawiałem z chorymi, nigdzie żadne skargi nie dochodziły uszów moich. Obawiali się tylko niektórzy, czy ich nie zawiozą gdzieindziej, niż do Parany.

Życzeniu naszych wychodźców pod względem zmiany pieniędzy nie można było uczynić zadość: bardzo słusznie przeto zabroniono bez wyjątku wszystkim odwiedzającym wdawać się

w takie kombinacye po bardzo smutnych doświadczeniach. Zresztą pozwalano emigrantom co kilka dni udawać się do miasta pod wodzą kogoś, który im w bankach zmieniał pieniądze. Jeden z moich znajomych chodził za takim przewodnikiem i przekonał się, że zmiana była uskuteczniona zawsze jak najuczciwiej.

Z Wyspy Kwiatów popłynęliśmy łódką do Nicteroy (wymawiaj Niteroi, wyraz to indyjski), rodzaj przedmieścia Rio de Janeiro, położonego na przeciwnej wschodniej stronie zatoki. Po drodze mijaliśmy wyspy pagórkowate, pokryte nadzwyczaj bujną roślinnością (krzaków i drzew). Tworzą one wraz z górzystym lądem stałym — właściwie półwyspem wysuniętym między zatoką a oceanem — mnóstwo zatoczek zacisznych. Przejeżdżając koło jednej z nich widzieliśmy skład torpedowców brazylijskich — małą flotę łodzi ogromnych, dość niewinnie wyglądającą na tle spokojnego granatu wód oraz ciemnych zarośli górskich.

W Nicteroy, mieście sporem samem przez się, jest, jak sam to zauważyłem, cieplej i jaśniej niż w właściwem Rio de Janeiro. Ciepłe i świetlane dziecię ma być zdrowsze od swej macierzy. Nic w tem dziwnego. Przecinki żółtej febry nie znoszą słońca i jasności. Tylko w ciemnościach po zachodzie słońca i przed jego wschodem przy wielkiem gorącu prowadzą swe dzieło niszcząco kolonizacyjne w ciałach ludzi i zwierząt. Widzieliśmy w Nicteroy znaczne fabryki, ruch tramwajowy ożywiony, zakład OO. Salezyanów.

Jeżeli światło i ciepło wpływają na dobry humor, to w Nicteroy mieliśmy tego dowód. Dwóch młodych mulatów robotników czy wioślarzy, gdy wypytywaliśmy się o cenę przewozu czy o coś innego, zaczęło śmiać się tak serdecznie i głośno, że byliśmy tem zdziwieni. — Gdy było im postawić jakiekolwiek pytanie, następował wybuch wesołości jakiejś źrebięcej z wymachiwaniem rąk i tańcem brzucha, jak u opętanych. Mnie samemu zaczynało być wesoło, choć to z nas się naigrawali. Objaśniano mnie, że przyczyną śmiechu nie jest światło i ciepło, lecz bardzo zwykła ich głupota mulacka.

Parowce regularnie obiegają przestrzeń między Nicteroy a Rio de Janeiro: bieg ich trwa z jakie 3 kwadranse. Jednak z powrotem nie korzystaliśmy z nich, mając najętą własną łódkę i zamierzając wylądować w innej części miasta niż ta, do której przybijają parostatki powyższe.

Przepływaliśmy tuż przed zachodem słońca przestrzeń wprost wrót oceanowych zatoki. Fale morskie sięgały po za nie. Nasza

skorupka bujała się po nich niezbyt łagodnie. Był to oddech Atlantyku. Powróciliśmy do Rio o zmroku szybko zapadającym.

25. września. — Wycieczka na „Garbatego“ (Corcovado).

Wycieczka na Corcovado zajęła nam cały dzień. Jedzie się do samego szczytu „Garbatego“ parową kolejką. Jest to jedna z piękniejszych i nie męczących wypraw górskich. Pociąg wznosi się powoli z coraz wyższego miejscaa. coraz to nowe widoki górskie się odkrywają, góry rosną, olbrzymieją i pokazują się w właściwym swym majestacie. Nasuwają ci się na oczy coraz to nowe części zatoki. Jest chwila, kiedy krajobraz bardzo podobny jest do okolic jeziora genewskiego pod Montreux i Vevey. Przejeżdżasz wśród gęstych zarośli, kryjących od czasu do czasu budynki stacyjne, hotele eleganckie i grupy willi rojnie zamieszkałych.

Szczyt „Garbatego“ zaopatrzony jest w wielki hotel, restauracye i t. p., oraz w ogromną altanę postawioną przy brzegu prostopadłej straszliwej przepaści skalistej. Masz widok na morze po przez wszystkie góry okoliczne; unosisz się na orlej wysokości, ogarniając jednym rzutem oka zatokę w całej jej szerokości i długości aż po góry północne przeciwległe, ukrywające Petropolis. Z wysokości 710 metrów spoglądałem z tej altany na „Głowę Cukru“, wysoką tylko 385 metrów — przecięta była w pół przez tafelkę chmury przeźroczystej. Stwierdziłem naocznie, że olbrzymia ta skała tylko od tej strony t. j. od zachodu ma postać wyraźną stojącej głowy cukru, (z innego boku wygląda raczej jak pochylony naparstek, od morza zaś podobna jest do sfinksa bez głowy). Miasto Rio de Janeiro i Nicteroy widzisz, jak na dłoni.

Od strony południowej i południowo-zachodniej Corcovado sterczy zupełnie prostopadle od samego szczytu do dołu, na całą wysokość 710 metrów. Do jego podnóża dochodzi spokojnie zwierciadło wód jeziora słonego Rodriguez de Freytas. połączonego dawniej niewątpliwie z morzem, obecnie odłączonego od oceanu wąską a wysoką ścianą gór. Nad brzegiem tego jeziora szerokiemi pasami rozsiadły się przedmieścia stolicy — pasy te są, jakby łapami potwornemi pająka riożaneirowskiego, obejmującemi południową część podstawy Garbatego. Gdy spojrzysz z tej zawrotogłowej wysokości prosto na dół. ogromne tramwaye elektryczne, sprzężone po 3, wyglądają jak najdrobniejsze nam znane muszki —

pojedynczo przechodzący ludzie, jak punkciki czarne, ledwie dostrzegalne.

Ogólne wrażenie tych widoków przygłębia swą wielkością i rozciągłością, a zarazem podnieca wyobraźnię i skrzydeł jej dodaje do jakiegoś lotu w nieskończoność. Porywała mnie ochota rozpędzić się do przepaści i skoczyć w nią ze spadochronem. Do tracenia przestępców byłoby lepsze Corcovado od rzymskiej Skały Tarpejskiej. Z takiej wysokości kalectwo pewniejsze.

Schodząc z tej olbrzymiej góry oglądaliśmy wodociąg doprowadzający wodę do miasta. Wygląda on jak gruby mur różnej wysokości (1 metr — częściej 2 metry), który uchodzi i wznosi się w zakrętach tak jakby na małą skalę Mur Chiński. W środku na nim znajduje się wydrążony szeroki i głęboki rów, którym woda wali promieniem grubości pół Pełtwi lwowskiej, niebieskawa, przeźroczysta, źródlana. Pod wieczór zwiózł nas na dół do miasta pociąg zębatej kolei korkowadzkiej.

Dr. Stanisław Kłobukowski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z życia Kajetana Węgierskiego

Pamiętniki i listy

WYDAŁ

Dr. Stanisław Kossowski.

(Ciąg dalszy).

Mardi à 4 h. apr. midi.

J'aime mieux reprendre la manière du journal quoique, par ce moyen, tu liras bien de choses inutiles — ou peu intéressantes. — J'aurais du moins le plaisir d'être plus long — temps en ta presence, et de l'occuper d'avantage. Dimanche nous partimes à 4 heures du matin de St. Pierre dans un canot, conduit par quatre Nâgres: et nous arrivâmes dans trois heures et demie au

---

Wtorek o 4-tej po połud.

Wolę powrócić do pisania dziennika, chociaż skutkiem tego będziesz czytać wiele rzeczy bezużytecznych albo mało zajmujących. Ja przynajmniej będę miał przyjemność pisać dłużej, z myślą o Twojej obecności, by więcej się zająć. W niedzielę odjechaliśmy o 4-tej z rana z Saint Pierre w łódce, pędzonej przez 4 murzynów: po 3 i pół godzinach przybyliśmy do Fort-Royal.

Fort-Royal. On côtoye, pendant six lieues environ, un pays inégal et assez bien cultivé: le beauté de la culture et la variété des arbres rend le paysage fort agréable. Là c'est des carreaux plantés en cannes de sucre, plus loin sont des cafayers; on voit de temps en temps des cocotiers, des palmistes et mille autre genres d'arbres à grandes familles, qui font un très bel effet. Le Fort Royal est un port, où se tiennent les vaisseaux pendant l'hivernage: la baie en est très vaste et fort commode. La ville est plus agréablement située que St. Pierre. — C'est ici que se font ces fameuses liqueurs, connues en France sous le nom des Liqueurs des Isles. Leur débit en est si considérable, qu'il est impossible à l'entrepreneur d'y suffire, et nous n'avons pas pu en avoir malgré nos meilleures recommendations. Du Fort Royal il n'y a que deux lieues au Lamentin. À une demi-lieue de ce bourg, la mer s'encaisse dans l'isle, et forme de petits canaux, qui sont bordés des deux côtés d'orangers, de citroniers, du bois d'Indes et d'un autre genre de bois, qu'on apelle pite, dont on fait des cordes et de cables. Le voyage est assez joli; il plairait d'avantage sans une immense quantité de marangorins et de nurestiques, qui vous devorent. Les Nègres qui nous

---

Około 6 mil płynie się brzegiem kraju nierównego i dość dobrze uprawionego: piękność uprawy i rozmaitość drzew czynią ten kraj bardzo przyjemnym. Widzi się tam grzędy zasiane trzciną cukrową, dalej są krzaki kawowe, od czasu do czasu widzi się drzewa kokosowe, palmy i tysiące innych gatunków drzew, należących do wielkich rodzin, które robią bardzo piękne wrażenie. Fort Royal jest portem, gdzie przebywają okręty w czasie zimowania. Zatoka w nim jest bardzo rozległa i bardzo wygodna. Miasto położone jest przyjemniej niż Saint Pierre. Wyrabiają się tu te sławne likwory, znane we Francyi pod imieniem Likworów Wysp. Pokup ich jest tak znaczny, że niepodobna jest przedsiębiorcy nastarczyć, i my pomimo najlepszych poleceń nie mogliśmy ich dostać. Z Fort Royal jest tylko dwie mile do Lamentin. O pół mili od tego miasteczka morze wciska się w wyspę, i tworzy małe kanały, które z obu stron są otoczone drzewami pomarańczowemi, cytrynowemi, indyjskiemi i innemi rodzajami drzew, które nazywają „pite“, a z których robią sznury i liny. Podróż jest dość ładną; podobałaby się jednak więcej bez olbrzymiej ilości marangorynów i nuwestików, które nas pożerają. Murzyni, którzy

menaient, étaient nuds, comme ils le sont à l'ordinaire: leurs dos étaient couverts de ces insectes, et cela ne les dérangea en rien dans leur ouvrage, tandis-que nous ne pouvions pas suffire à nous en débarrasser.

Cette manière de voyager nous a rapellé les canaux de Venise; si on batissait une ville dans cet endroit, c'en serait une assez bonne copie.

Au Lamentin nous montâmes à cheval, et après un voyage de trois quarts de lieues par un pays très agreable, nous arrivâmes à l'habitation de notre homme. J'ai été obligé d'y paraitre en pantalons et en petite veste de toile: mes gens avaient oublier de me donner un habit. On a poussé l'hospitalité jusqu'à me fournir de vêtement, et je suis mis aussi bien, qu'on peut l'être avec un habit emprunté. Hier je fus présent à la distribution des vivres qu'on donne aux Nègres: elle se fait tous les lundis, on leur donne à peu-près quatre pintes de farine de manioc et deux livres de viande ou de morue pour la semaine. — C'était du boeuf salé, cette fois-ci. On etale sur une espèce de plateforme autant de portions qu'il y a de têtes: et on corne le troupeau, pour l'avertir que tout est prêt. Environ deux cents de ces mal-

---

nam wiosłowali, byli nadzy jak zwykle: plecy ich były pokryte tymi owadami, co im wcale nie przeszkadzało w pracy, podczas gdy my nie mogliśmy wydołać w opędzaniu się.

Ten sposób podróżowania przypomniał nam kanały weneckie; gdyby w tem miejscu zbudowano miasto, byłoby ono dość dobrą kopią Wenecyi.

W Lamantin wsiedliśmy na koń i po podróży przez trzy ćwierci mili przez kraj bardzo przyjemny, przybyliśmy do posiadłości naszego człowieka. Musiałem tam pokazać się w spodniach i płóciennej kurtce: moi ludzie zapomnieli bowiem dać mi ubranie. Posunięto gościnność aż do dania mi ubrania i jestem odziany o tyle dobrze, o ile można nim być w ubraniu pożyczonem. Wczoraj byłem przy rozdawaniu pożywienia murzynom: odbywa się ono co poniedziałku; dają im około czterech kwart mąki maniokowej i dwa funty mięsa albo stokfisza na tydzień. Tym razem była to solona wołowina. Na pewnego rodzaju platformie rozkładają tyle porcyi, ile jest głów i trąbią na gromadę, aby ją uprzedzić, że wszystko jest gotowe. Około dwustu tych nieszczęśliwych przy-

heureux accoururent pour se saisir de cette méchante nourriture. J'en examinai leur contenance, et je ne leur ai remarqué ni empressement, ni dégoût: j'ai été fâché de leur voir si peu d'avidité; cela les aurait assimilé d'avantage aux animaux, aux quels ils ressemblent déjà de tant de manières. Le maître était présent à cette distribution. Il parait par tout ce que j'ai déjà vû et entendu, qu'il est humain, et qu'il regarde ces êtres, non pas tout-à-fait comme ses semblables (parceque cela est impossible ici) mais comme des animaux precieux, qu'il soigne et dont la conservation lui est importante. Aussi est — il recompensé de cette attention, son troupeau se multiplie, les naissances remplacent les morts, et le dispensent d'acheter de nouveaux esclaves: ce qui est une économie considérable: — les autres habitants de l'isle en perdent tous les ans la septieme et à St. Domingue la dixieme partie.

J'ai revé très long-temps à cette etonnante bizarrerie de la nature, qui a créée exprès une espèce d'hommes pour la rendre esclave de l'autre. Ce n'est pas la première fois que la profondeur des ses vues echappe à notre intelligence. J'ai aussi réfléchi sur le sort et la situation de ces malheureux: mais il me semble

---

biega, aby uchwycić to nędzne pożywienie. Przypatrywałem się ich zachowaniu i nie zauważyłem ani pospiechu, ani obrzydzenia: przykro mi było widzieć w nich tak mało chciwości: toby ich więcej zbliżyło do zwierząt, do których już z tylu względów są podobni. Właściciel był obecny przy tem rozdawaniu. Ze wszystkiego tego, co już widziałem i słyszałem, wydaje się on człowiekiem ludzkim i że uważa te istoty za niezupełnie sobie równe. (bo to jest tutaj niepodobne), ale za drogocenne zwierzęta, o które ma staranie i których zachowanie jest dla niego ważne. To też jest on wynagrodzony za te względy — jego stado pomnaża się, urodzenia zastępują śmierci i uwalniają go od kupowania nowych niewolników, co jest znaczną oszczędnością. — Inni mieszkańcy wyspy tracą ich co roku siódmą część, a w Saint Domingo dziesiątą.

Myślałem bardzo długo o tym zadziwiającym wybryku natury, który umyślnie stworzył rodzaj ludzi, aby go uczynić niewolnikiem innych. Nie po raz pierwszy ta głębokość jej dróg jest niedoścignięta dla naszego pojęcia. Zastanawiałem się także nad losem i położeniem tych nieszczęśliwych: ale zdaje mi się, że

que sous un maître raisonnable ils sont moins à plaindre que les paysans de Russie, de Pologne, de Hongrie et le dirai-je, plus heureux même que ceux de France. Ce qui nous les fait paraitre misérables, c'est que nous leur prêtons souvent notre façon de penser; nous leur supposons des idées sur la liberté, sur la proprieté qu'ils n'ont jamais connue, et qu'ils ne connaitraient pas même, restant dans leurs pays. Le mot d'esclavage nous revolte; mais outre que l'histoire nous aprend, que les nations les plus policées et les plus douces, ont toujours eu des esclaves, que cela est presque un mal aussi inevitable à l'espèce humaine que la petite vérole, au quelque autre fléau. Nous ne pensons pas que ces gens là étaient esclaves chez eux, que nous le sommes nous-mêmes presque sur toute la terre, et qu'il n'y a aucune différence entre le Nègre, que l'on met aux fers pour quelque temps, ou à qui l'on donne quelques coups de fouet et un seigneur français, que le caprice d'un Roi et la faveur d'une maitresse, ou d'un ministre envoyent pourrire au fond d'un cachot, ou suspendre dans la cage de St. Michel. Cela révoltera un peu vos beaux messieurs; mais cela n'en sera pas moins vrai, moins evident. Quant à leur situation journalière, elle est sûrement cruelle

---

pod panem rozsądnym są oni mniej godni politowania, niż chłopi rossyjscy, polscy i węgierscy i co powiem, szcześliwsi nawet, niż chłopi francuscy. To co nam ich przedstawia nędzarzami, to jest ta okoliczność, że przypisujemy im często nasz sposób myślenia: my przypuszczamy w nich często pojęcia o wolności, o własności, której nigdy nie znali i nie poznaliby nawet, zostając w swoim kraju. Wyraz niewola nas oburza: ale historya nas uczy, że narody najbardziej ogładzone i najłagodniejsze miały zawsze niewolników, że to jest zło prawie tak nieuniknione rodzajowi ludzkiemu, jak ospa albo jaka inna plaga. My nie myślimy, że ci ludzie byli niewolnikami u siebie, że my sami nimi prawie jesteśmy na całej ziemi, i że niema żadnej różnicy pomiędzy murzynem, którego zakuwają na jakiś czas, albo któremu dają kilka uderzeń batogiem, a panem francuskim, którego kaprys króla lub względy kochanki albo ministra posyłają gnić w głębie lochu albo zawisnąć w klatce św. Michała. Podburzy to trochę waszych pięknych panów: ale będzie niemniej prawdą, niemniej widoczne. Co do ich codziennego położenia, jest ono z pewnością okrutne

sous des maîtres durs et féroces: mais quelle différence de leur sort, quand ils sont bien traités, à celui de la plupart des paysans de l'Europe. Le Nègre est toujours sûr d'avoir du pain pour subsister, de la toile pour se vêtir: Il n'est pas sujet au vingtieme, ni aux tailles, ni à la gabelle. Les commis ne viennent point saisir ses meubles, ni sa charrue; la subsistance de ses enfants est aussi assurée que la sienne. Il a la certitude, que, si leur sort n'est pas meilleur, il ne sera pas pire que celui de leur père. Il n'y a pas de paysan, qui travaille moins qu'un Nègre, et il y en a sûrement, qui meurent de faim, ou qui s'abandonnent au plus affreux désespoir, voyant leur bien enlevé par des commis avides, ou leur maison renversée par quelque fléau de la nature. Sont-ils d'ailleurs plus libres que les Nègres? Ceux-ci dependent d'un seul maitre, ceux-là sont le jouet de mille tyrans. Comptés-vous pour rien les désagréments, que leur donne les procès, les chicanes, la dureté du climat, sous lequel ils habitent, et mille autres inconvenients, que la proprieté attire? Combien peu pourraient étendre ces reflexions: mais bien peu de personnes savent peser sans prevention les biens et les maux des conditions humaines. On raisonne d'apres les prejugés de son

---

pod panami srogimi i dzikimi; ale jaka różnica w ich losie, kiedy są oni dobrze traktowani, a losem większej części europejskich chłopów. Murzyn jest zawsze pewny, że ma chleb, aby żył, i płótno, aby się ubrał. Nie jest on poddany ani dwudziestemu rokowi, ani karbowi, ani podatkowi od soli. Urzędnicy podatkowi nie przychodzą zabierać jego sprzętów ani jego pługa; istnienie jego dzieci jest równie zapewnione, jak jego samego. Ma on pewność, że, jeżeli ich los nie będzie lepszym, to nie będzie gorszym od losu ich ojca. Niema chłopa, któryby pracował mniej od murzyna, a są z pewnością tacy, którzy umierają z głodu lub się oddają najstraszniejszej rozpaczy, widząc swoje mienie porwane przez urzędników podatkowych albo swoje domy zniszczone przez jakąś naturalną plagę. Czy są oni zresztą wolniejszymi niż murzyni? Ci ostatni zależą od jednego tylko pana, tamci są igraszką tysiąca tyranów. Czy za nic macie przykrości, jakie nastręczają im procesy, prześladowania, ostrość klimatu, w którym mieszkają i tysiące innych niedogodności, które sprowadza własność. Jak niewiele ludzi umiałoby rozszerzyć te rozmyślania; ale bardzo mało osób umie ważyć bez uprzedzenia, dobro i cierpienia warunków ludzkich. Roztrząsamy wedle przesądów naszego wycho-

education, ou l'on répéte ce qu'on a entendu. Il faudrait d'ailleurs s'en prendre à la nature, d'avoir crée d'un côté des êtres assez imbecilles pour courber leur tête sous le joug et pour se vendre aux prix de l'or et de l'autre une espèce assez méchante pour profiter de cette faiblesse et faire de leurs semblables des instruments serviles pour leurs fantaisies et caprices.

2. Juillet, Mercredi.

Tu trouveras un terrible désordre et une singulière incohérence dans mes lettres: les matières ne s'y suivent pas et je ne soigne pas trop les transitions. Mais comme c'est à toi, que ces lettres sont écrites et qu'elles ne seront vues de personne, je suis tranquille sur ma reputation. Gardes-les pourtant je t'en prie: je serai charmé de revoir un jour les idées, que je jette sur le papier, d'après les impulsions, que je reçois des objets, qui me frappent. Nous relirons un jour ensemble ce journal; et en te serrant dans mes bras je dirai: Il est passé ce malheureux temps

---

wania albo powtarzamy, cośmy już słyszeli. Musielibyśmy zresztą mieć pretensyę do przyrody, że stworzyła z jednej strony istoty dość ciemne, aby schylić głowę pod jarzmem i sprzedać się za cenę złota, a z drugiej strony gatunek dość zły, aby korzystać z tej słabości i robić z równych sobie narzędzia poddane swojej fantazyi i kaprysom.

2. lipca, środa.

Ty znajdziesz straszny nieporządek i dziwny brak związku w moich listach: tematy nie następują po sobie i nie troszczę się o zmiany. Ale ponieważ do ciebie te listy są pisane i nie będą widziane przez nikogo, jestem spokojny co do swojej opinii. Zachowaj je jednakże, proszę Cię; będę szczęśliwy, gdy kiedyś odnajdę myśli, które dziś rzucam na papier wedle wrażeń, jakie odbieram z przedmiotów, które mię uderzają. Odczytamy kiedyś razem ten dziennik; a ściskając Cię w swoich ramionach, po-

d'absence; je suis près de mon amour, et je ne m'en séparerai jamais.

Je m'étais mis en chemin ce matin pour le Fort Royal, mais une terrible pluie survenue au tiers de ma route, m'a percée jusqu'aux os, et m'a forcé de rétourner à l'habitation. Fontenille qui s'était muni d'un manteau, a continué sa marche, comme il peut arranger sans moi notre passage. Je ne regrette pas du tout ce voyage; d'autant plus, que j'ai le loisir de t'écrire, étant le maître de la cure. Le patron de la maison et son fils, ont été voir le gouverneur, je m'en vais, par conséquent t'en faire les honneurs et te la montrer du grenier à la cave: cela sera bientôt fait, car le bâtiment n'est pas immense. Il consiste en trois galleries, dont la moyenne est partagée par des cloisons en trois pieces. La gallerie, qui est au vent, sert à prendre le frais dans la journée et de promenade, pendant le mauvais temps.

On couche dans les chambres, qui font le milieu et l'on prend les repas dans celle, qui est sous- le vent. Toutes les habitations sont bâties sur ce plan, mais plus ou moins ornées, — selon le goût des proprietaires. Celle-ci est située dans un petit vallon très agréable. On se détourne du chemin et l'on tra-

---

wiem: przeszedł ten nieszczęśliwy czas rozłąki, jestem blisko mego ukochania i nie rozłączę się z niem nigdy.

Puściłem się dziś rano w drogę do Fort Royal, ale straszny deszcz, który mię złapał w trzeciej części drogi, przemoczył mię do kości i zmusił wrócić do mieszkania. Fontenille, który opatrzył się w płaszcz, poszedł dalej, ponieważ może bezemnie ułożyć nasz wyjazd. Nie żałuję wcale tej podróży, tem bardziej, że mam czas pisać do Ciebie, będąc panem swojej zagrody. Właściciel domu i jego syn poszli odwiedzić gubernatora, ja więc wskutek tego zrobię Ci honory i pokażę Ci ją od strychu aż do piwnicy: wkrótce to będzie skończonem, bo budynek nie jest ogromnym. Składa się on z 3 galeryi, z których najmniejsza podzielona jest przegrodami na 3 części. Galerya, która jest wystawiona na wiatr, służy do oddechania świeżem powietrzem w czasie dnia i do spacerowania podczas niepogody.

Spią w pokojach środkowych, a jedzą w bocznych. Wszystkie mieszkania są zbudowane według tego planu, ale mniej lub więcej ozdobione według gustu właścicieli. To położone jest w małej, bardzo przyjemnej dolinie. Aby tu dojechać, zwraca się

verse une allée de palmistes pour y arriver; tu ne saurais imaginer la beauté et la majesté de cet arbre. On ne se fait pourtant pas de scrupule de l'abattre, pour avoir un chou qui vient à son sommet et qui est un peu meilleur que le choux d'Europe. Les vergers, qui entourent la maison, sont pleins de tous ces arbres rares et curieux, que l'on conserve avec tant de soin dans nos serres. C'est un vrai jardin d'Eve excepté qu'il n'y a point de pommes pour les serpens; on en a tant qu'on veut, mais ils ne sont pas aussi aimable que celui d'Eve. Les Nègres en sont mordus très souvent et malgré des remedes connus, il en meurt beaucoup de ces morsures. Ces serpens sont pourtant de quelque utilité: ils devorent les rats, qui rongent les cannes. Outre les rats, les fourmis et mille autres insectes détruisent fréquemment cette culture délicate.

Les inondations viennent souvent noyer ce qui a échappé à cette première déstruction: mais c'est les ouragans, qui sont le fléau le plus à craindre. Leur saison approche maintenant et l'habitant tremble de voir à chaque instant, ses possessions voler au gré des vents, et détruire sa fortune et ses espérances.

Il a été envoyée une lettre ecrité le 8 Juill. à N.

---

z drogi i przechodzi się aleę palmową: Ty nie możesz sobie wyobrazić piękności i majestatyczności tego drzewa. Ścinają je jednak bez skrupułu, aby dostać kapustę, która rośnie na jego wierzchołku i jest trochę lepsza, niż kapusta europejska. Ogrody owocowe, które otaczają ten dom, są pełne wszystkich tych drzew rzadkich i ciekawych, jakie przechowują z takiem staraniem w naszych cieplarniach. Jest to prawdziwy ogród Ewy z wyjątkiem, że niema w nim wcale jabłek dla wężów; tych ostatnich znajdzie się w ogrodzie, ile się podoba, ale nie są one tak uprzejme, jak kusiciel Ewy. Murzyni są przez nie bardzo często kąsani i pomimo znanych środków wielka ich liczba umiera z tych ukąszeń. Węże te są niekiedy użyteczne: pożerają one szczury, które gryzą trzcinę cukrową. Oprócz szczurów, mrówki i tysiące innych owadów niszczą często tę delikatną roślinę.

Ulewy przychodzą często i zatapiają to, co pozostało po tej pierwszej niszczącej pladze; ale najniebezpieczniejszą plagą są huragany. Teraz zbliża się ich pora: mieszkańcy drżą na myśl ujrzenia lada chwila, jak ich mienia ulatują z wiatrem i ich nadzieje i majątek ulegają zniszczeniu.

Został posłany list pisany 8. lipca w N.

11. Juill. au Fort Royal.

J'ai envoyé ce matin à St. Pierre une lettre pour toi, mais comme je n'ai rien de mieux à faire, et qu'il est impossible de sortir, à cause du mauvais temps, je me remets à t'écrire: dans l'espérance, que ce bavardage ne te déplaira pas et que tu me tiendras compte du plaisir, que j'ai à m'occuper de toi. J'ai vû le gouverneur — et notre départ parait être décidé pour lundi. Nous sortirons donc enfin de cette triste prison et j'aurai bientôt le plaisir de voir de ton écriture; car je ne doute nullement, qu'il n'y ait à St. Domingue plusieurs de vos lettres. — En attendant que je puisse avoir la satisfaction d'y repondre, je m'en vais me rapeler le peu de choses dignes de remarque, que j'ai vues, en te faisant voyager avec moi. Je voudrais te donner une idée juste de ce pays-ci et du caractère de ses habitants. La Martinique est de toutes les colonies françaises du vent la plus au sud: elle n'est qu'à 14 dégrés de la ligne. L'air y est pourtant assez salubre. Rien ne prouve mieux que c'est le sommet d'une montagne, dont le bas est couvert par la mer, que sa forme: elle est absolument en pente une chaine de montagnes la coupe

---

11. lipca w Fort Royal.

Posłałem dziś rano do Saint Pierre list do Ciebie, ale że nie mam nic lepszego do czynienia i wyjść jest niepodobnem wskutek niepogody, zasiadam na nowo do Ciebie pisać, w nadziei, że to gadulstwo Ci się podoba i że mi będziesz pamiętać przyjemność, jaką miałem, Tobą się zajmując. Widziałem gubernatora i nasz wyjazd zdaje się być naznaczony na poniedziałek. Wyjdziemy więc nareszcie z tego smutnego więzienia i wkrótce będę miał przyjemność oglądać Twoje pismo: bo nie wątpię wcale, że w San Domingo jest kilka Twoich listów. — Zanim będę miał przyjemność odpowiedzieć Ci, postaram się przypomnieć sobie niewiele rzeczy godnych uwagi, ktore widziałem i tym sposobem zmuszę Cię do podróżowania ze mną. Chciałbym Ci dać wierne wyobrażenie o tym kraju i o charakterze jego mieszkańców. Martynika jest ze wszystkich kolonii francuskich najbardziej wysunięta na południe: leży ona tylko o 14° od linii. Powietrze na niej jest jednak dość zdrowe. Nic nie dowodzi lepiej jak jej kształt, że jest to wierzchołek góry, której dół okryty jest morzem: jest ona całkiem pochyłą. Łańcuch gór przecina ją w roz-

en différents sens: les bords de la mer et presque toutes les declivités sont plantées en cannes de sucre; les cafeyers couvrent les parties les plus élévées des Mornes. Leurs sommets ne sont point cultivés. Depuis l'ouragan de (1766) l'isle ne s'occupe plus de l'indigo. Il y a quelques cacaoyers, mais cette partie de culture est peu considérable. Le caffé de la Martinique, surtout celui des „Ances d'Arlets“ s'approche le plus de celui de Mocca. „Marie Galante“ en fournit aussi de très bon. Le tabac du pays est fort estimé. Tu connais celui de „Macouba“ (j'espère, que tu n'en prends point) c'est une pointe de la partie orientale de l'isle, qui le fournit.

Le carret ou l'écaille d'une certaine tortue fait aussi une petite branche de commerce. Quelques restes de bois, qui ont échappé à la hache des défricheurs des liqueurs, qui ne se fabriquent qu'au Fort Royal leur apportent encore quelque argent. Le paysage est partout très agréable: les cocotiers, les palmistes, les tamarins ornent merveilleusement la campagne. Quoique l'argent soit très abondant et que toutes les denrées y soient chères, les fortunes des habitants ne sont point considérables. Il n'y a pas trois colons, qui pourraient jouir de 80.000 liv. de

---

maitych kierunkach; brzegi morza i prawie wszystkie pochyłości są zasadzone trzciną cukrową: drzewa kawowe pokrywają najwyższe części gór. Wierzchołki ich nie są wcale uprawiane. Od czasu huraganu z r. 1766 wyspa nie zajmuje się więcej uprawą indyga. Jest kilka drzew kakaowych, ale ta część uprawy jest mało znaczną. Kawa Martyniki, szczególnie kawa z „Ances d'Arlets“ jest najbardziej zbliżona do Mokki. „Marya Galante“ dostarcza także bardzo dobrej. Tytoń tego kraju jest bardzo ceniony. Ty znasz tytoń z Macouby, (mam nadzieję, że go nie używasz), dostarcza go wschodni kraniec wyspy.

Carret albo skorupa pewnego żółwia stanowi także małą gałęź handlu. Pewne ostatki drzew, które uniknęły topora fabrykantów likworów, jakie wyrabiają się tylko w Fort Royal i przynoszą im trochę pieniędzy. Krajobraz jest zawsze bardzo przyjemny: drzewa kokosowe, palmy i tamaryksy zdobią cudownie pola. Chociaż pieniądze są tu w obfitości i choć wszystkie wiktuały są bardzo drogie, majątki mieszkańców nie są wcale znaczne. Nie ma trzech kolonistów, którzyby mogli posiadać 80.000 funtów do-

revenu en France. Les ouragans, qui désolent très fréquemment le pays, renversent et détruisent en un instant le fruit et le soin d'un demi siècle. Les habitants se souviennent avec effroi, de celui de 1766 quoiqu'ils en comptent cinq depuis. En général, l'isle devient de jour en jour moins importante des terres y dégenerent; la culture devient plus pénible et moins fructueuse: les fréquens coups de vent, qui renservent souvent les maisons, la mortalité des Nègres, — obligent les habitants à des dépenses toujours nouvelles, et les jettent dans des emprunts, qui les rendent pour la plupart insolvables. Il ne serait pas déraisonnable d'assurer, qu'avant que deux siècles s'écoulent, les isles du vent, qui ont été la cause ou le théâtre des guerres sanglantes, qui ont absorbé et fait périr de millions d'hommes seront abandonnées, si elles ne disparaissent pas tout-à-fait de la surface des eaux.

Je n'ai jamais pû apprendre, d'où vient le mot Créole, qui désigne l'habitant né aux Antilles. Quoiqu'il n'y ait pas une différence totale entre cet être et un Européen, il ne laisse pas d'y avoir des nuances très marquées entre eux. Le Créole ressemble pourtant assez à l'Espagnol. Plus fier et aussi paresseux

---

chodu we Francyi. Huragany, które niszczą bardzo często kraj, niszczą i znoszą w jednej chwili owoc i staranie półwiekowe. Mieszkańcy przypominają sobie ze strachem huragan z 1766 r., chociaż liczą ich od tego czasu pięć. Wogóle wyspa staje się z dnia na dzień mniej ważna, gdyż ziemia na niej upada; rolnictwo staje się na niej uciążliwsze i mniej korzystne: częste podmuchy wiatru, które przewracają nieraz domy i śmiertelność murzynów, zmuszają mieszkańców do coraz nowych wydatków i wciągają ich w długi, które czynią ich po większej części niewypłacalnymi. Nie byłoby bezmyślnem twierdzić, że przed upływem 2 wieków wyspy wietrzne, które były przyczyną albo teatrem krwawych wojen i które pochłonęły i zaprzepaściły miliony ludzi, będą opuszczone, jeżeli przedtem nie znikną zupełnie z powierzchni wód.

Nigdy nie mogłem się dowiedzieć, zkąd pochodzi wyraz „Kreol", który oznacza mieszkańca, urodzonego w Antylach. Chociaż nie ma zupełnej różnicy między tą istotą a Europejczykiem, są jednak między nimi odcienia bardzo wyraźne. Kreol jest dość podobny do Hiszpana. Bardziej dumny, ale równie leniwy

que lui, il n'est ni aussi brave ni aussi patient. Fonder la défense des isles sur des regiments ou sur la milice du pays, c'est les exprès — important au colon, qui cultive du sucre ou du caffé, d'apartenir au Francais, ou à l'Anglais — pourvû qu'il vende sa denrée. Il n'ira sûrement pas risquer par une défense inutile la déstruction de ses plantations. Il serait non seulement prudent, mais indispensable pour les puissances, qui possedent les isles où vent, de leur assurer une neutralité éternelle: la guerre ne peut en aucune manière leur être avantageuse et le passage continuel d'une domination à l'autre, arrête la culture et nuit au commerce de la metropole. Tout le luxe des habitants se réduit à la parure des femmes; l'excessive cherté des étoffes des Indes, dont elles font ici le plus d'usage et les caprices de la mode en ce genre, rendent cet objet très considérable. Une Négresse cher qui nous sommes logés, porte des jupes de 40 louis; son linge et les mouchoirs, dont elle pare sa tête, sont d'une très grande beauté et d'un prix proportionné. Sa fortune est pourtant très médiocre.

---

jak on, nie jest ani tak dzielny, ani tak cierpliwy. Zasadzać obronę wysp na pułkach lub na milicyi kraju, jest to — polegać na posłańcach ważnych dla kolonisty, który uprawia cukier albo kawę należącą do Francuza lub Anglika, pod warunkiem, że sprzeda swoje produkty. On z pewnością nie zaryzykuje ruiny swoich plantacyi przez bezużyteczną obronę. Byłoby nie tylko ostrożnem, ale niezbędnem dla mocarstw, które posiadają wyspy wietrzne, zapewnić im wieczną neutralność; wojna nie może w żaden sposób być dla nich korzystną i przechodzenie ciągłe z jednego panowania pod drugie, wstrzymuje uprawę i szkodzi handlowi metropolii. Cały zbytek mieszkańców ogranicza się na ozdobach kobiet; nadzwyczajna drożyzna materyi indyjskich, które im tu najbardziej służą i wybryki mody w tym rodzaju, czynią ten przedmiot bardzo cenionym. Murzynka, u której mieszkaliśmy, nosi spódnice po 40 luidorów; jej bielizna i chustki, któremi zdobi swą głowę, są bardzo piękne i ceny średniej, jej majątek jest jednak bardzo mierny.

Le 12. Juillet, Samedi.

La manière, dont les habitants sont logés et nourris, est, on ne peut pas plus, mesquine; et leurs meubles et leurs ustensiles ne seressentent point du tout de l'opulence. La plupart des négociants de St. Pierre sont des commissionaires: cette manière de commercer est sûre et lucrative, mais les grandes fortunes ne se font que par des speculations — seul genre, qui fait d'un marchand un homme respectable. La vanité d'avoir un très nombreux domestique, les pertes fréquentes des Nègres, qu'ils achetent très-cher, le grand prix des denrées d'Europe, qu'ils consomment: tout cela absorbe leurs petits gains de l'année et leur ôte les moyens de s'élever à l'opulence.

Pour vous faire connaître le caractère des Nègres, je vous reporterai quelques traits, qui m'ont été contés par des personnes, dignes de foi. Un riche habitant, nommé Mr. Desbarrieres, laissa en mourant à son fils un attelier nombreux et proportionné à l'établissement de l'habitation. Parmi ses esclaves, il y en avait un, qui depuis plusieurs années, s'était distingué par son entendement et son application. Le fils s'en allait en France, pour

---

12. lipca, sobota.

Sposób, w jaki mieszkańcy mieszkają i żywią się, jest w najwyższym stopniu lichy, a ich sprzęty i naczynia nie są bynajmniej obfite. Większa część kupców z St. Pierre to komisanci: ten sposób handlowania jest pewny i korzystny, ale wielkie fortuny zdobywają się tylko wskutek spekulacyi. Jedyny rodzaj, który robi z kupca człowieka szacownego. Próżność posiadania wielkiej ilości służących, częsta utrata murzynów, których kupują bardzo drogo, wysoka cena wiktuałów europejskich, które spożywają, wszystko to pochłania ich mały roczny zarobek i pozbawia ich środków wzniesienia się do przepychu.

Aby dać wam poznać charakter murzynów, powtórzę wam kilka rysów, o których mi opowiadały osoby zasługujące na wiarę.

Pewien bogaty mieszkaniec, zwany pan Desbarrieres, umierając, zostawił swemu synowi pracownię liczną i odpowiednią do posiadłości mieszkania. Pomiędzy jego niewolnikami był jeden, który od kilku lat wyróżnił się przez swoją pojętność i pilność. Syn odjeżdża do Francyi, aby zaś wynagrodzić swego murzyna,

récompenser le Nègre, le fit econome ou gérant-place, qui ne se confie qu'à des blancs. Au bout de six mois, le possesseur revint et parut être mécontent de la manière, dont les affaires avaient été administrées dans son absence.

Le Nègre, pour toute reponse, empoisonna 36 personnes, parmi les quelles était sa propre fille et deux de ses frères. Il aurait fini par tuer tout l'attelier, si l'on ne s'était pas aperçu de la cause de cette mortalité. On prétend, que ces exemples ne sont pas rares et n'arrivent que par des Nègres, que l'on traite avec distinction et à qui on accorde sa confiance. La porte à côté de la maison, où j'etais logé à St. Pierre, demeurait un tonnelier. Il avait un Nègres, dont il avait refusé 12.000 francs. Un matin on vint nous dire, que ce malheureux, après avoir assassiné deux de ses compagnons, s'était coupe la gorge, — uniquement pour faire niche à son maître. La plus grande partie d'entr'eux s'accouplent sans amour, sans goût, et mûs seulement par une espèce d'instinct, qui est plus sensible dans certaines saisons. D'autres donnent des preuves d'une délicatesse de sentiments et d'une passion violente, qui ferait honneur au siècle présent.

---

uczynił go ekonomem czyli rządcą, — miejsce, które się powierza tylko białym. Po sześciu miesiącach właściciel powrócił i zdawał się być niezadowolony ze sposobu, w jaki interesy były prowadzone w czasie jego nieobecności.

Murzyn za całą odpowiedź otruł 36 osób. pomiędzy któremi była własna jego córka i dwaj jego bracia. Byłby wkońcu wymordował całą pracownię. gdyby się nie byli spostrzegli, jaka była przyczyna tej śmiertelności. Utrzymują, że podobne przykłady nie są rzadkie i wydarzają się tylko przez murzynów, których wyróżniają postępowaniem i obdarzają zaufaniem. W bramie obok domu, w kórym mieszkałem w Saint Pierre. mieszkał bednarz. Miał on murzyna, za którego dawano mu 12.000 franków, co on jednak odmówił. Pewnego poranku powiedziano nam, że ten nieszczęśliwy, zamordowawszy dwóch ze swoich towarzyszy, przeciął sobie gardło, wyłącznie, aby zrobić psikusa swemu panu. Największa część z nich żeni się bez miłości. bez upodobania, popychani tylko rodzajem instynktu, który staje się czulszym w pewnych porach roku. Inni dają dowody delikatności uczuć i gwałtownego przywiązania, jakie przynosiłoby zaszczyt obecnemu wiekowi.

Un jour, que je me promenai sur les bords de la mer, je m'arrêtai pour voir une vente de ces malheureux. Une vieille démoiselle, après avoir examiné, retourné et tâté un grand et beau Nègre, tout nu, l'acheta 1.700 francs et dans le même temps, un habitant fit aquisition, pour une moindre somme, d'une assez jolie Nègresse, maîtresse ou femme de celui, que la démoiselle venait d'acheter. Les aquéreurs, amenaient chacun leurs bêtes, lorsque les amants, s'apercevant qu'on les séparait, poussaient des hauts cris et des hurlements affreux, — l'homme courut embrasser son amante et la tint si étroitement serrée, qu'on ne put l'en arracher, quelques efforts que l'on fit, mais enfin cedant à son désespoir, il se précipita contre un pilier et se serait cassé la tête, si on n'eut amorti le coup, en l'arrêtant par les bras. Il tomba pourtant sans connaissance et les assistants, que ce spectacle avait attirés, persuaderent à la démoiselle de céder son homme à celui, qui avait acheté la Nègresse; ce qu'elle fit d'assez mauvaise grâce. J'imagine, que ces malheureux amants eurent bien de la joie de se trouver ensemble; mais je ne pus savoir, si le Nègre a survecu au coup, qu'ils s'était donné. Il n'y a rien de si curieux, que la vue d'une vente de cette espèce. Toutes ces

---

Pewnego dnia, gdy przechadzałem się na brzegach morza, zatrzymałem się, aby zobaczyć sprzedaż tych nieszczęśliwych. Pewna stara panna opatrzywszy, wykręciwszy i obmacawszy wielkiego i pięknego murzyna, który był całkiem nagi, kupiła go za 1.700 franków i w tym samym czasie pewien krajowiec nabył za mniejszą sumę dość ładną murzynkę, kochankę czy żonę tego, którego owa panna przed chwilą kupiła. Nabywcy uprowadzili każdy swoje bydlę, gdy kochankowie spostrzegłszy, że ich rozłączają, zaczęli wydawać głośne krzyki i straszne wycia — mężczyzna pobiegł uściskać swoją kochankę i trzymał ją tak mocno przyciśniętą, że nie mogli jej od niego oderwać, pomimo wysiłków, jakie czyniono, lecz w końcu ulegając rozpaczy, cisnął sobą o słup, i byłby sobie rozbił głowę, gdyby nie złagodzono ciosu, wstrzymując go za ramiona. Padł jednak bez zmysłów, a obecni, których to widowisko ściągnęło, namówili pannę, aby ustąpiła swego człowieka temu, który kupił murzynkę; uczyniła to dość niechętnie. Wyobrażam sobie, że ci nieszczęśliwi kochankowie mieli wiele radości odnajdując się razem, ale nie mogę wiedzieć, czy murzyn przeżył razy, które sobie zadał. Nic niema ciekawszego, jak ulica w czasie sprzedaży tego rodzaju. Wszystkie te

créatures sont nues absolument; et telle matrone respectable, va examiner, lunettes sur le nez, jusque dans les parties les plus cachées, si les Nègres, qu'elles vont acheter, n'ont pas de défauts, qui les empêcheraient de travailler. Ce qui est encore bien singulier, c'est que cela parut très simple aux assistants, et qu'aucun d'eux ne trouvait extraordinaire cette cérémonie, qui me faisait mourir de rire. On remarque en général, que les Européens, qui viennent s'établir ici, et les Nègres, qui ont acheté leur liberté, traitent plus durement leurs esclaves, que les Créoles, quoique ceux-ci les taillent et les assomment très souvent. Mais en voilà assez sur cette matière — et même trop. Il est vrai, que tu as la ressource de ne pas lire tout ce fatras: Tu ferais même bien de sauter par dessus et ne jetter les yeux, que sur les phrases, qui expriment mon tendre attachement et qui te prouvent combien tu m'est chère.

---

istoty są kompletnie nagie; i taka matrona szanowna idzie badać z okularami na nosie, aż do części najbardziej ukrytych, czy murzyni, których mają kupić, nie mają braków, któreby im przeszkadzały pracować. Co jest jeszcze bardzo dziwnem, że to się wydało obecnym całkiem naturalne i że żaden z nich nie widział nic nadzwyczajnego w tej ceremonii, która mnie przyprowadzała prawie do skonania ze śmiechu. Mniemają wogóle, że Europejczycy, którzy przyjeżdżają tu się osiedlać i murzyni, którzy kupili swoją swobodę, traktują okrutniej swoich niewolników niż kreolowie, chociaż ci ostatni obarczają ich pracą i mordują bardzo często. Ale dość już w tym przedmiocie, a nawet za dużo. To prawda, że Ty masz środek nieczytania tej całej pisaniny. Zrobiłabyś nawet dobrze, gdybyś przeskakiwała przez nie i rzucała oczy tylko na te zwroty, które wyrażają moje czułe przywiązanie i które Ci dowodzą, jak mi jesteś drogą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Sofiści, a oświata helleńska.

(Dokończenie).

W głośnym sporze pomiędzy prawem ustanowionem, pisanem czy obyczajowem (nomos) z jednej, a przyrodzonem (physis) z drugiej strony, Protagoras i Sokrates zarówno nie uznawali jakiegoś prawa przyrodzonego w stosunkach ludzkich zgodnie z Gorgiasem, który napisał rzecz; O przyrodzie lub o niebycie, a przeciw orędownikowi przyrody Hippiasowi; stawiali zaś ponad pisanemi i nadanemi prawami niepisane wszechprawa boskie (ágraphoi nomoi), któremi — podług słów Heraklita — wszystkie ludzkie prawa się żywią, a których Ateńczycy — jak świadczy Perykles w mowie pogrzebnej u Tucydydesa — przedewszystkiem słuchali. Z równym pozorem słuszności można było oskarżać Protagorasa, że nowe prawa wprowadza, jak Sokratesa oskarżono, że nowe wprowadza bóstwa. Obaj bowiem szukali prawdy nie w przepisanej z góry prawowierności wschodniej, np. Egipt poniekąd był dla Platona ideałem, .lecz w pogodzeniu i rozwiązaniu przeciwieństw myśli w wyższej jednocie, gdyż każda rzecz ma dwie strony różne, nie jedną, jak na Wschodzie, co zauważył trafnie Burckhardt (Griech. Kulturgesch. I, 320). Wbrew tradycyjnym tedy prawom i bogom i wbrew przyrodzie znaleźli obaj we własnym duchu ostoję, zarazem pokrzepienie u źródła samego: w prawie odczutem bożem, z którego płyną wszystkie człowiecze prawa i w tym tajemniczym głosie bożym wewnętrznym (dajmonion),

który przetłumaczono świetnie jako „das Göttliche von allen Göttern“. To samo wyrażenie o bożem dziedzictwie ludzi, o theia moira, spotyka się tak u Protagorasa jak Sokratesa i nie powinno zadziwiać w czasach, kiedy burzono przedział między bogami a ludźmi, głosząc: wszystko jest boskie oraz wszystko jest ludzkie, kiedy Perykles wielbił poległych pod Samos, że jak bogowie stali się nieśmiertelnymi.

Tu już wkraczamy w dziedzinę mistyki, zawsze i wszędzie dążącej do zespołu i duchowego pokrewieństwa człowieka z bóstwem. Tego rodzaju teozoficzne tendencye w VI. i V. stuleciu przed Chr. są dowiedzione w rozkrzewieniu po Grecyi, względnie odżyciu, orgiastycznych kultów chtonicznych tudzież wierzeń orfickich, które np. w porównaniu z bakchickim kultem miały o wiele głębszy i czystszy, uraniczny początek. Owo silne wezbranie oraz napięcie uczucia religijnego i reformacyjne dążenia musiały znacznie oddziałać na cały rozwój filozoficznej myśli helleńskiej od pandajmonizmu Talesa aż po dajmonion Sokratesa. Wobec tego co najmniej dziwnie uderza, że nawet w najznakomitszych dziełach wciąż jeszcze przychodzi czytać o intellektualizmie epoki, która wydała sofistów i Sokratesa, o „hochgesteigerte Schätzung alles Verstandesmässigen“, o „überstarke Hochschätzung des Verstandes“, o „rationelle Einsicht und Rationalisierung aller Lebensverhältnisse“ i to w wieku niezwykłej potęgi i podniesienia ducha ludzkiego, w wieku, w którym żyć było danem takim, jak Protagoras i Sokrates, genialnym osobistościom. Można wyjaśnić w części ów objaw racyonalizmem lub historyzmem samych badaczy, którzy t. zw. Geisteswissenschaft poświęciwszy dla panującej dzisiaj Geschichtswissenschaft, zamiast najistotniejsze i najwewnętrzniejsze dajmonion Sokratesa uważać za poruszającą sprężynę w jego duchowym ustroju, poniżyli głos boży do tajemniczej, nic nieznaczącej roli przeżytka w jego etyce, nibyto racyonalistycznej, do drobnej reszty niemal w rachunku jakiegoś teoretyka-racyonalisty!

Mistycyzm uprawiali poeci-filozofowie eleaccy: zarówno Xenofanes jak Parmenides, tem się różniący zasadniczo od mistycyzmu Heraklita i Empedoklesa, że Eleaci monistycznie twierdzili, nawiązując do wiary ludowej o podziemiu, iż wszystko z ziemi pochodzi i do ziemi też wszystko wraca; tymczasem tak Heraklit jak Empedokles nie uznawali podziemia, lecz idąc za podnioślejszą orfiką, przyjmowali dwoisty, tytaniczny początek ludzi na podobieństwo Tytanów, synów nieba i ziemi, złożonych z ciała, które

należy do ziemi i z duchowego pierwiastka, który pochodzi z nieba i do nieba powraca. Podług orfickich przekonań ziemia i niebo są zależnymi od siebie współczynnikami. u Heraklita taż sama droga z ziemi do nieba zowie się ano, w górę, co z nieba na ziemię kato, na dół, a Empedokles przez kato (na dół) rozumie nie podziemie, lecz ziemski padół płaczu. Natomiast Xenofanes i szkoła Eleatów od ziemi się nie odrywają: co jest na ziemi, jest ano; kato, co jest pod ziemią. Musimy zatem przyjąć dwa całkiem odrębne i nawzajem się wyłączające kręgi, które myśl grecka, jak wogóle ludzka, zataczała, a mianowicie: jeden z nieba na ziemię i z ziemi do nieba, drugi z podziemia na ziemię i z ziemi do podziemia. Stąd dwojakiego rodzaju bóstwa i kulty: uraniczne, nadziemskie i podziemne, chtoniczne.

Sofiści, zajmujący się egzegezą mitów i intepretacyą poetów, musieli „łamać, czego rozum nie złamie; tam sięgać, gdzie wzrok nie sięga". Zarzut zaś, podnoszony przez zacofańców ateńskich przeciw Sokratesowi, jakoby zbadał wszystko na niebie i pod ziemią, tak dobrze jego się tyczy, jak i reszty sofistów. Sercem przeczuwać, pożądać wolą tam, gdzie nie można myślą się dorozumieć, wogóle całą duszą spodziewać się rozwiązania dręczącej umysł zagadki życia — oto były znamiona czasu, który lubował się w misteryach, w orfickich i dyonizyjskich nastrojach, czasu, który wydał sofistów, żywiących z Heraklitem nadzieję, że ludzi czeka po śmierci, czego nie spodziewają się ni przypuszczają; atoli kto nie spodziewa się, ten nic niespodziewanego nie znajdzie, gdyż ono nie da się zbadać ni dowieść.

Gomperz w swem znamienitem dziele (Griech. Denker I, 361) wyraził bystro uzasadniony domysł, że Protagoras byłby się zgodził z temi słowami, które napisał Ernest Renan na krótko przed śmiercią w r. 1892., a które brzmią w przekładzie niemieckim, jak następuje: „Wir wissen nichts; das ist alles, was man mit Bestimmtheit über das aussagen kann, was jenseits des Endlichen liegt. Behaupten wir nichts, leugnen wir nichts, hoffen wir". Obok powyższych słów, które tak doskonale licują z nadzieją, podkreśloną przez Heraklita i słynnem Sokratesa wyznaniem: Tyle wiem, że nic nie wiem, przytaczam bardzo zbliżone godło poety Sofoklesa, jednego z najpobożniejszych, znane z fragmentów: „Uczę się, czego można nauczyć się; szukam tego, co można znaleść; czego zaś można jedynie pragnąć, o to się modlę do bogów". Porównano z tem powiedzeniem wysłowienie Goethego: „Das schönste Glück des denkenden Menschen ist, das

Erforschliche erforscht zu haben und das Unerforschliche ruhig zu verehren". (Sprüche in Prosa, 19, Nr. 1019). Goethe, którego zdanie o sztuce i o stosunku jej wzajemności z przyrodą, zupełnie identyczne ze stanowiskiem Protagorasa, poznaliśmy już przedtem, wygłosił także pogląd, dosłownie wyrażający hasło tegoż sofisty: człowiek miarą wszystkiego; a mianowicie tak pisze Goethe, Gomperz zaś jego słowa podaje (I, 362): „Wir mögen an der Natur beobachten, messen, rechnen, wägen etc. wie wir wollen; est ist doch nur unser Mass und Gewicht, wie der Mensch das Mass der Dinge ist". Jeśli więc Goethe czemś więcej był, aniżeli wyłącznym racyonalistą, to chyba tak zbliżony do niego duchem, humanistycznym poglądem ns świat i udostojnieniem człowieka, Protagoras również wyrósł ponad doktrynę racyonalistyczną.

To samo trzeba w stopniu wcale nie mniejszym, owszem o wiele wyższym, stosować do Sokratesa, którego nie po raz pierwszy zestawiam z Mickiewiczem. O Mickiewiczu bowiem słyszymy, że był jednym z wybrańców, który doświadczał na sobie wpływu tajemniczego głosu, nie różniącego się niczem (o ile sądzić możemy) od dajmonion, owego „głosu bożego" Sokratesa. Mickiewicz także pouczał, jak się dochodzi do wyrobienia nieśmiertelnego ducha w sobie, z siebie, przez siebie i dla siebie; jak pierwszym warunkiem dojścia do czucia pewności moralnej jest „podniesienie się w duchu i praca ducha"; że każdy człowiek ma swój geniusz uwięziony w organizacyi, a całą różnicę między ludźmi stanowi różny stopień wyrobienia się tego geniuszu. Emerson, często z upodobaniem wielkiem przez Mickiewicza w wykładach o Literaturze Słowiańskiej przytaczany „filozof praktyczny, niby jakiś Sokrates amerykański" wyznał, że „ten, do kogo choć raz Bóg przemówił, wie już wszystko". Ziomek zaś Emersona, Sheldon w Ruchu etycznym (Warszawa 1900) poleca „uwydatnić nasz głos wewnętrzny", jakoteż „istniejącą w nas pewną pierwotną miarę wartości". To stanowisko mistyczne, wspólne Sokratesowi tak z Protagorasem, jak z Goethem, Mickiewiczem i t. p., da się określić w następujących wyrazach, że nauczanie i poszukiwanie mądrości zmierza do przeświadczenia o czemś niedocieczonem w człowieku, czego ani nauką nabyć ani też doświadczeniem zdobyć nie można, chyba świadomie poprzeć jako jedynie bezsprzeczną i niezawodną pewność.

Nie jest rzeczą bynajmniej przypadkową, że dwaj najwięksi koryfeusze poezyi niemieckiej i polskiej byli zarówno wielbicielami poezyi orfickiej, która musiała wogóle oddziałać przemożnie

na rozwój greckiej oświaty, a zatem i na sofistów, zwłaszcza na Protagorasa i Sokratesa. Goethe w utworach orfickich i hezyodowych znalazł to, co w hebrajskiej księdze Hioba, co w Pieśni nad pieśniami i Przypowieściach Salomona, a co mu najbardziej się podobało, „dass Poesie, Religion und Philosophie ganz in Eins zusammenfielen“ (Aus meinem Leben. 2 Th. 6 B.). Mickiewicz zaś w wykładach swych, mianych w Collége de France, zauważył: „Ułamki, przypisywane Orfeuszowi, Muzeuszowi, Sybillom, noszą na sobie piętno najczystszego natchnienia i głębokiego sięgnięcia duchem: poezya dopiero wtedy odzyska prawo do względu i szacunku u ludzi, kiedy stanie się znowu, czem była niegdyś w czasach proroków, czem była za Orfeusza i Muzeusza“ (Lit. Słow. t. III. lekc. 13 i 14, t. IV. lekc. 5).

Sofiści zgoła nie położyli końca przewodniej roli poezyi, lecz dopomogli jej do przejścia i do wzniesienia' się na dalszy i wyższy szczebel, od liryki do dramatu. Znaną jest predylekcya Protagorasa do Symonidesa, którego Lessing w przedmowie do Laokoona z powodu olśniewających antitez i stylu nazwał greckim Wolterem, a któremu wraz z Bakchylidesem przypisać trzeba stworzenie pomostu od lirycznego pesymizmu do sofistycznej filozofi Protagorasa. Bez niej nie byłoby Sofoklesa, a przynajmniej nie byłoby najwspanialszej jego tragedyi, Antygony, gdzie problem walki między prawami wolnej i niepodległej jednostki a ustawami obowiązującemi państwa po protagorejsku jest przedstawiony i rozstrzygnięty.

Zamiast wielbionej dotąd pogody i słodyczy dziś skłonni są dopatrywać niektórzy na dnie poezyi Sofoklesa gorżkiego rozczarowania. Zdaje się jednak, że obie miary: zadowolenia i rezygnacyi są nazbyt małe, ażeby objąć i zmierzyć mogły podniosłość wielkiego dramaturga. Zbliżenie jego do Protagorasa, z którym stoi na wspólnym gruncie filozoficznym, powinnoby raz już rozwiać zupełnie błędne i nieuzasadnione mniemanie, jakoby w swojej prostoduszności Sofokles trzymał się zdala od umysłowego ruchu w Atenach. O tem Sofokles dobrze wiedział, że Ateńczycy nabrali wprawy i doświadczenia na morzu, gdzie spostrzegli niebawem, że myśl ludzka nie potrzebuje koniecznie ustępować przygodom, raczej przeciwnie może nad niemi wziąć górę. Jestże coś bardziej niesłychanego w Atenach przed wiekiem Peryklesa i wystąpami sofistów, niż to wyniesienie samoistnego umysłu i jego

tworów nad wszystkie świata przygody i przypadłości? A jednak chciano odmówić Sofoklesowi współuczestnictwa w tej chwale wieku i iście szczytnym, filozoficznym poglądzie!

Kreon w tragedyi Sofoklesa posłużyć może za jednostronny, ale wybitny typ helleńskiego odrodzenia. Przewodnią gwiazdą dla niego jest gwałt, spełniany w imieniu racyi stanu. W nieprzyjacielu państwa Polynejkesie i Antygonie, pośmiertną cześć oddającej bratu, poeta uosabia zasadę: równe prawa dla wszystkich, wręcz prawu mocniejszego przeciwną. Kreon jednak i Antygona idą przebojem, na przekór sobie i ogółowi, którego przedstawicielem jest chór, nie chylący się z sympatyami swemi stanowczo ku żadnej z stron walczących. Najdonioślejszym jest wszakże jego wyrok, że obie główne postaci tragedyi z własnego pobłądziły wyboru i z własnej winy; dalej sąd Tejrezyasa o dobrej myśli, o eubulia, jako najtrwalszym skarbie, którego nabycie chór zmądrzałemu po szkodzie Kreontowi zaleca. Pełna odpowiedzialność za swoje czyny, zamiast zwalania jej na przypadek, konieczność lub boga, czego dopuszcza się Kreon jeszcze pod koniec tragedyi, znamionuje protagorejski kierunek. Dobra myśl, tylokrotnie z serdecznym powtórzona akcentem przez Sofoklesa, jest czemś więcej od wiedzy, zwłaszcza od pitagorejsko-hippokratesowej wszechwiedzy, którą chełpi się Kreon. Ową zaś eubulia, polegającą na gnome, która jest jedną i jedyną mądrością w przeciwieństwie do wielowiedzy pitagorejskiej, głosił — jak wiemy — za Heraklitem Protagoras, a w ich ślady wstąpił poeta wolnomyślny, przy całej bogobojności, Sofokles. On to przejął się wzniosłą nauką Protagorasa i wystawił jej nie mniej trwały pomnik w swej Antygonie, jak Tucydydes w mowie Peryklesa na cześć poległych (II, 35—46), wspaniałej, a przesiąkniętej myślami i zasadami Protagorasa.

W gigantycznych równaniach Perykles kreśli tam hasła ateńskie, wcale nie wywrotowe: szlachetność duszy — to wolność, a wolność — to szczęście! Zwraca się on widocznie przeciwko takim, którzy nie w sobie i własnem uszlachetnieniu, lecz poza sobą szukają podpór wolności tudzież zadatków szczęścia. Jednym zaś z takich był — jak wiadomo — sofista Antyfont, zakładający szczęście i wolność na dobrach ziemskich i mieniu. Jego i jemu podobnych ma Perykles na myśli, gdy Ateńczyków, z wielkim zapałem oraz energią oddanych sztuce i filozofii, przeciwstawia zgnuśniałym ich uprawiaczom, którzy toną w moralnym upadku i kwietyzmie. Wobec etyki hedonistycznej Antyfonta wyraża na-

uka Protagorasa stanowcze zerwanie z szczęściem, jakie dać może świat zewnętrzny, natomiast radzi zbudować własny wewnętrzny świat myśli. Boleść światową, smutek istnienia i melancholijny nastrój ducha, sofista Antyfont leczył jako objawy patologiczne słowami i zamawianiem znachora, czemś w rodzaju hypnozy i sugestyi. Wiemy bowiem, że ten poeta-tragedyopisarz, którym był zrazu, został następnie praktykującym snowidzem i koicielem smutku, w tym celu nawet otworzył lecznicę psychiatryczną w Koryncie. Natomiast Ateńczycy nie w „próżnem słowie“ — podług świadectwa Peryklesa — szukali prawdy i ukojenia, ale w „bogactwie czynu“. Nie uznawali więc innej prawdy prócz „prawdy czynów“, do których słowa powinny być tylko przygotowaniem. Zamiast snu wynaleźli lepszy i skuteczniejszy od Antyfonta środek przeciw dolegliwościom życiowym, a mianowicie sztukę i artystyczne upodobania. Zajęć domowych nie umieli odrywać od spraw państwowych, zarówno bowiem ich obchodziło życie społeczne w tych dwu dziedzinach: a nawet u tych, co własnym byli oddani zatrudnieniom, nie brakło zrozumienia dla spraw publicznych. Tej zaś łączności słowa i czynu, zajęć prywatnych i powszechnego dobra, w sztuce i cnocie obywatelskiej, nauczyli się Ateńczycy w szkole Protagorasa, który ich nie odwodził od zajmowania się wielkomiejską i marynarską polityką, jak sofista Antyfont, kosztem agrarnych zajęć, lecz owszem może pierwszy nazywał obojętnego na mocarstwowy wzrost i potęgę Aten obywatela nie tyle bezczynnym, ile bezużytecznym.

W mistrzowskiej charakterystyce kunktatorskiej natury Lacedemończyków, a heroicznej Ateńczyków, włożonej przez Tucydydesa w usta posłów korynckich na zgromadzeniu ludowem w Sparcie, wyraźnie jest zaznaczone (I, 70, 8 i 9; 71, 2 i 3), że ani bezcelowy ascetyzm ani kwietyzm bezwzględny nie był ateńskim ideałem, lecz ciągła czynność i pobudzanie drugich do czynu. Pojęciom staromodnym, nazwanym nie po attycku archaiótropa, odpowiadały może zakrzepłe wyobrażenia o „nieruchomych prawidłach“, dobrych zapewne dla pokojowego i bezczynnego państwa, godnego niewoli, ale nie dla dzielnego i panującego swobodnie, jakiem było państwo ateńskie. W takiem państwie zasady nowe postępu i rozwoju (ta epigignómena) biorą górę wbrew „dobrym ludziom“ w rodzaju Antyfonta, którego Prawda była w obliczu Prawdy Protagorasa, jego „szlachectwa duszy“ i „prawdy czynów“, tylko — „czczym dźwiękiem“.

Kiedy największy historyk grecki Tucydydes stoi pod niezaprzeczonym wpływem przekonań Protagorasa, tò współzawodnik jego Herodot uległ oddziaływaniu poglądów Antyfonta, nie tylko jego języka i stylu. Bajka o naiwności Herodota rozwiała się, odkąd w nim zamiast „naiwnego dziecięcia natury“ odnaleziono „dziecię nowego czasu“, którego styl jest produktem mozolnej sztuki i sofistycznej wprawy do tego stopnia, że można mówić o dziwu pełnej w jego osobie i dziele mieszaninie „von altväterlicher Strenge und moderner Subjektivität, von Naivität und Reflexion“. W politycznej debacie nad najlepszym ustrojem rządu trzech perskich wielmożów (III, 80—82), jak wykazano, podaje Herodot tylko odbicie i odźwierciedlenie sofistycznego sporu w Atenach za czasów Peryklesa. Znamiennie sympatyzuje on z Otanesem, orędownikiem tudzież obrońcą demokracyi i jego postępkiem, gdy się usunął od współubiegania się o władzę, ponieważ nie chciał ani sam rządzić ani ulegać rządom Daryusa, który zamierzał wolność i prawa ojczyste z władzą jednego męża pogodzić. Jak tutaj czyni przytyk Herodot do odniesionego nad starą demokracyą zwycięstwa Peryklesa w osobie Daryusa, tak znowu w innej rozprawie na dworze perskim, czy wojnę z Hellenami należy prowadzić czy nie (VII, 8 i nast.), parodyuje dziejopis wojen perskich — udowodniłem to gdzieindziej — dyskusyę sofistyczną, toczoną w przededniu wojny peloponneskiej; przyczem Protagoras występuje w roli Xerxesa, Perykles zaś jako dowódca, jego sił zbrojnych, Mardonios. Xerxes w swej mowie u Herodota nie okazuje się wcale azyatyckim despotą, przeciwnie władcą, łączącym demokratyczną ideę z formami monarchicznemi. Toć Mardonios wypędził z Jonii wszystkich tyranów i zaprowadził tam demokracyę, jako prototyp Peryklesa Herodot przedstawia go sofistycznie i po protagorejsku wyszkolonym. W rozmowie między Xerxesem a Demaratem, byłym królem spartańskim, który przebywał jako wygnaniec na dworze perskim i brał udział w wyprawie Xerxesa przeciw Helladzie (VII, 101—104), poznajemy pod maską Demarata sofistę Antyfonta tem łacniej, że uroczyście i kilkakrotnie zapewnia Xerxesa, iż całą prawdę i nic innego jak tylko prawdę wyzna. Słowom Xerxesa—Protagorasa, które „niosą Helladzie niewolę“, przeciwstawia Herodot za pośrednictwem Demarata „ze słów najprawdziwsze“ Antyfonta i podług jego doktryny wychwala, zamiast pierwszego męża na czele państwa, bezosobiste prawo lacedemońskie w tych słowach: „Lacedemończycy choć wolni, jednak wolnymi są nie we wszystkiem; panuje bowiem nad nimi prze-

możne prawo, którego owszem o wiele więcej się boją, niż twoi poddani ciebie. Czynią tedy, co ono każe i t. d“.

Uwidoczniłem, jak mi się zdaje, rozbrat państwowo-społeczny i kulturalny, który nastąpił w ognisku greckiej oświaty, w Atenach, między połączonemi siłami oligarchów i demokratów dawnego pokroju z jednej, a nowoczesnymi arystokratami i demokratami z drugiej strony. Tamci sposobem reakcyjnym i radykalnym chcieli solońsko-klejstenesową ustawę znowu do życia przywrócić, natomiast ci liczyli się z historycznym rozwojem demokracyi ateńskiej. Jest rzeczą arcyciekawą i nader pouczającą, że tamten kierunek znalazł w sofiście Antyfoncie, poecie Eurypidesie, historyku Herodocie i politycznym teoretyku Arystotelesie (w Polityce i Politei ateńskiej), obrońców i przedstawicieli; tymczasem kierunek drugi, zwycięski za Peryklesa, reprezentują: Protagoras, Sofokles, Tucydydes i pokrewny mu politycznym zmysłem autor anonimowy starszej rozprawy o Politei ateńskiej. Kiedy Perykles, stosownie do protagorejskiego poglądu na świat, prawdziwej wielkości i mocy ducha szukał w akordzie dwóch różnych tonów, w dokładnej znajomości zarówno stron przykrych jak przyjemnych istnienia (Tucyd. II, 40, 3): Antyfont umiał wygrywać tylko na jednostajną nutę o przyjemnościach życiowych, dlatego retor z epoki Marka Aureliusa, Hermogenes odmówił jego charakterowi szczerości i rzeczywistej powagi. Nuta zaś, poruszona przez niego, dźwięczy jako motyw przewodni na wielu miejscach w utworach Eurypidesa; w hedosistycznej formułce Arystypa o najłatwiejszym i najprzyjemniejszym sposobie życia; jakoteż w mdłej wolności, usuwającej się od ulegania władzy i wykonywania rządów, której rzecznikiem jest herodotowy Otanes.

Takiż rozłam, jak w przekonaniach socyalno-politycznych, zaznaczył się i w wierzeniach. Przytłumione rozrostem bóstw olimpijskich, uwiecznionych w poematach homerowych, kulty chtoniczne wydostały się na wierzch z wiarą ludową i zmierzchem bogów dotychczasowych, niebiańskich. U Solona pojawia się czarna Ziemia jako boska osoba, największa matka owych bóstw olimpijskich; kult matki ziemi żywym jest zwłaszcza u attyckich poetów i mówców, co świadczy, że lud attycki przyznawał ziemi osobne obok bóstw innych, a nawet ponad niemi, znaczenie. Obrazowanie przy końcu platońskiej Rzeczypospolitej o ziemnej cze-

luści, z której się dusze wydobywają lub też do której schodzą, wzięte jest z wierzeń pierwotnych w preegzystencyę tudzież wędrówkę dusz; różni się jednak zasadniczo od wiary orfickiej, która z podziemiem nic zgoła nie ma wspólnego, dla duszy bowiem po zgonie ciała szuka przybytku w górze: w eterze i niebie, skąd ona znów zstępuje na ziemię i przyobleka się w ciało. To koło wcieleń i odrodzenie się dusz w nagrodę wprost się sprzeciwia pitagorejskiej metempsychozie za karę i niehelleńskiemu wyobrażeniu, że ciało jest grobem duszy.

Dogmat orficki, przeciwny wszelkim kultom chtonicznym, znalazł dobitny wyraz na oficyalnym nagrobku ateńskim dla poległych pod Potideą, że ciała zmarłych poszły do ziemi, do eteru zaś dusze. Z mistycyzmem orfickim, przenikającym kulturę grecką za czasów Peryklesa, nauka chrześcijańska niejedno ma podobieństwo i zgodność uderzającą, ale z kultami chtonicznymi, szczególnie z kultem Dyonizosa, który wziął górę w okresie aleksandryjskim, musiała walkę zaciętą staczać. Tego, co wieczne i niespożyte w helleńskości, należy szukać przed Sokratesem i w nim samym, nie po nim: bez pierwszego zaś w rzędzie sofistów, Protagorasa, nie byłoby ostatniego i największego z starszych sofistów, Sokratesa, którego Justyn Męczennik nie wahał się zaliczyć do chrześcijan, a Erazm z Rotterdamu co więcej — nawet do świętych.

Ograniczyłem się tylko do przedstawicieli starszej sofistyki i to nie wszystkich, po których dochowały się jakieś resztki. O wyczerpaniu przedmiotu nawet nie mogłem myśleć. Zewnętrzne szczegóły biograficzne, kwestyę wysokich honoraryów, usługi dyplomatyczne sofistów i t. d., świadomie pominąłem. Natomiast szerzej, jak sądzę, niż to dotychczas uczyniono, starałem się uwydatnić doniosły wpływ sofistów na rozbudzenie wolnej i niezależnej myśli u przodujących osób w oświacie, życiu państwowem i piśmiennictwie greckiem. Pod tym względem oparłem się przeważnie na własnych dochodzeniach źródłowych, których wynik złożyłem szczególnie w „Studyach filologicznych nad rozwojem oświaty greckiej w V. wieku przed Chr." (Rozpr. Wydz. filol. Ak. Um. w Krakowie t. XXXIII).[1] Jeżeli potrafiłem przekonać, że

---

[1]) Niejeden ustęp tak z tej rozprawy, jak i z innych swych prac, mianowicie z późniejszej p. t. Nowe poglądy na cywilizacyę grecką (druk. w „Muzeum" z r. 1902), wcieliłem do niniejszego wykładu prawie bez zmiany.

sofistyka starsza wcale nie była pasorzytną rośliną, wysysającą soki żywotne z organizmu greckiego, że owszem była ona zjawiskiem prawidłowem, koniecznem i przynajmniej w swem głównem odgałęzieniu zbawiennem — jeżeli o tem udało mi się przekonać, to cel swój uważać mogę za osiągnięty.

Sofiści doczekali się zwolna uznania i rehabilitacyi. Pierwszy Hegel, a za nim Grote, wzięli w obronę charakter ich i uczciwość przed zarzutami zwłaszcza Platona. W nowszych czasach poświęcił im najwspanialsze karty w swem pomnikowem dziele Gomperz (Griechische Denker I. Leipzig 1896), gdzie na szerokim podkładzie rozwoju ścisłych umiejętności, szczególnie medycyny, są przedstawieni sofiści w entuzyastycznych wyrazach jako duchowe ogniwo między zanikiem filozofii przyrody a historycznej wiedzy rozkwitem. Także w najlepszem ukształtowaniu historyi starożytnej Edwarda Meyera (Geschichte des Alterthums IV. Stuttgart und Berlin 1901) świetne rozdziały odnoszą się do dziejów kultury w peryklesowym wieku i do sofistyki, chociaż Meyer nie jest tak zapalonym jej wielbicielem, jak Gomperz. Nie jest też chwalcą sofistów bynajmniej Diels, zasłużony i znakomity wydawca wszystkich pozostałości po myślicielach przedsokratesowych, zebranych w obszernym tomie p. t. Die Fragmente der Vorsokratiker. Griechisch und deutsch (Berlin 1903). Ale najsumaryczniej i najbezwzględniej obszedł się z sofistami nasz przewyborny znawca platońskiej filozofii i autor niedokończonego dotychczas niestety dzieła: Historya filozofii greckiej (I. Kraków 1890), ks. dr. Pawlicki, któremu kult jednostronny ich pogromcy Platona nie pozwolił wymierzyć zniesławionym przez niego ludziom należnej sprawiedliwości. Nie sofiści zgubili Grecyę, nie oni ją tak wychowali, że pozbawili ją wiary w ideały; lecz oni właśnie przygotowali to wielkie odrodzenie, którego przedziwnym swym geniuszem Sokrates dokonał.

Stanisław Schneider.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.